

Dekada Literacka

Kraków

16—22 II 1991 r.

Tygodnik

Nr 12

Wspomnienia więzienne

Tadeusz Kudliński

Tadeusz Kudliński, zmarły 7 października ub. r. w wieku 92 lat, był pisarzem związanym całym swym życiem z Krakowem. Autor kilkunastu książek: powieści, wspomnień, zbiorów szkiców i krytyk teatralnych, znawca i żarliwy popularyzator teatru, animator życia kulturalnego. W okresie okupacji związany z podziemną organizacją katolicką „Unia” i z konspiracyjnym Teatrem Rapsodycznym, więzień hitlerowski, po wojnie w latach 1948—1955 więziony przez komunistów. Drukowane poniżej fragmenty wspomnień T. Kudlińskiego z tego okresu jego życia pochodzą z przygotowanego do druku tomu „Starość nie radość”.

Tryb przyjęcia do więzienia czy aresztu jest zabiegiem z natury poniżającym przez jawne wcielenie w środowisko podejrzanych. Rewizja osobista, odebranie drobiazgów osobistych łącznie ze sznurowadłami czy szelkami (przeszkoda w próbie ucieczki!) tworzyły wyraźną granicę z opuszczonym światem. Podobnie działało zapoznanie się z całą w piwnicy budynku, o niedużym, zakratowanym okienku, z biegnącą wzdłuż ściany drewnianą narą do spania. Markowałem wtedy bywalca oswojonego z podobną sytuacją, co nie przyszło mi z trudem wobec doświadczeń z niemieckiego więzienia za okupacji. Ponadto spotkanie z „mieszkańcami” celi wypadło mobilizujące. Nie należało się trapić, bo sprawa była codzienna i wcale nie wyjątkowa.

Po porcji kawy z glonkiem chleba na kolację ułożyłem się jako tako na narze i łatwo zasnąłem. Piwnica, jak piwnica zaludniona, miała swoje ciepło i nie dokuczalo zimno, mimo że był grudzień.

Początek przesłuchań
Nazajutrz zaczęły się prze-

sluchania, wezwano mnie najpierw do napisania życiorysu, ale wypracowany starannie produkt na pół literacki nie tylko nie zyskał uznania, ale został pogardliwie podarty i wyrzucony do kosza. Oświadczone mi już z gniewem, że nie idzie o duperele z życia gimnazjalnego, harcerskiego czy bankowego, ale o konkretne działania w konspiracji przeciw nowemu ustrojowi. I to w obrębie mej przynależności do „Unii”, którą śledczy awansowali na aktywną organizację dywersyjną.

Kiedy z uporem zapierałem się, by taka działalność istniała, śledczy, a było ich kilku interpelujących na wypródkę — popadli w dobre humory, jakoby z racji mej naiwności, pustostlowia i śmiesznego zaprzeczania faktom oczywistym. Jeden z nich podszedł do szafy pancernej i wyjął stamtąd plik akt. Poszperał w nich i wyciągnął jeden i drugi protokół zeznań moich poprzedników, ukrywając podpisy przesłuchiwanymi i odczytał mi kilka ustępów, z których niezbicie wynikała kontynuacja organizacyjna „Unii” w okresie powojennym. Tyczyło

to spółdzielni „Źródło”, „Tygodnika” warszawskiego, Teatru Rapsodycznego, naszych zebrań itd. W każdym pojedynczym zeznaniu omówiono inne szczegóły, widocznie przesłuchiwano moich kolegów każdego z osobna i każdego pytano o co innego, a tak umiejętnie, że później powstawała z tych kamyczków zgrabna mozaika, a zarazem pełny, przy pewnych wyostreniach, obraz zorganizowanej dywersji.

Oczywiście aresztowani poprzednio koledzy nie zdawali sobie sprawy z tej taktyki; każdy zeznawał w przekonaniu, że to, do czego się przyznał, nie jest wcale karygodnym obwinieniem.

W tej sytuacji sam straciłem orientację.

Budzono mnie także i w nocy, prowadzono po opustoszałym budynku aż do gabinetu komendanta w randze pułkownika, gdzie zostałem przyjęty w sposób wręcz towarzyski, bo z zaproszeniem do zajęcia miejsca w klubowym fotelu i do zapalenia papierosa. Szło pułkownikowi o moją rezerwę w zeznaniach i wstrzeźliwość sprzeczną z obywatelską lojalnością. Tymczasem sprawność służby bezpieczeństwa — wedle mniemania pułkownika — była wręcz „na medal” i wobec jej wszechwiedzy szło tylko o to, by zatrzymany (to jest ja) powiedział wszystko o sobie szczerze: bo bezpieczeństwo i tak wszystko wie, tylko bada lojalność obywatela, czy szczerze się spowiada. Twierdził więc z pełnym przekonaniem, że na pracy bezpieczeństwa nawet „mucha nie siada”. Jeśli więc wykaże moją lojalność, to znajdę się na drugi tydzień w domu. Dał mi czas

(CD. NA STR. 4)

Kazimierz Biculewicz — urodzony w Orniecie w roku 1948. Od 1985 mieszka w Krakowie. W 1977 opublikował arkuusz „Listy zwykle polecone”, a w 1989 zbiór pt. „Ognisty Żółw Bengalski” w Wydawnictwie Literackim.

Kazimierz Biculewicz

Zaczarowany dywanik

1. Poeta ogłasza
strajk wrażliwości, nieznaną
idącej bezszelestnie — przez świat

2. Byłoby wysoce niesmacznym
gdyby głos jutra — zamieniono przedwcześnie
w zabawkę logistyczną. W wesoły autobus.
Nie agitować! Dawać, świadectwo.

3. Pozwolić tematom
na musowanie.
Niech się swobodnie — wykrzyczą w krajobrazie
i wygadają. Gdy ciężar gatunkowy — dojrzeje
a one zanurzą się w końcu... w rzeczywistość swego
bytu

— zanurzą i pochylą — milknąc z konieczności —
wtedy dopiero, zabierając się za nie.
Na próżno — o nich piszesz — gdy uciekają od ciebie
i zdradzają cię — z innymi poetami.
Uwierz, że muszą wrócić kiedyś.
A, na pewno... wróć! Skruszone.
I bez słowa — wyrzutu
zajmiesz się nimi — ty
jeden ich mistrz, ceremonii.
Jakbyś był im ląką — od początku świata
w ich flircie — z esencją rzeczy samej
której to sążone — zarówno czary zarania
jak i wiedza — wynikała z polowań
pod koniec dnia:
tak się, nimi zajmiesz.
Nie sposób, inaczej.

Zagłada bibliotek...?

O krok od zapaści

Iacek Wojciechowski

Jako producenci dóbr konsumpcyjnych oraz użytkowych, nie mamy w świecie specjalnej opinii. Na widok wytworów naszej motoryzacji ludziom robią się zajady; nasze bułeczki nie chrupią, nasze noże nie kroją, oraz nie pieni się nasze piwo.

Natomiast udało się nam „wyprodukować” niemal ludzi myślących, jak też umiędzących to lub owo. To nawet mógłby być nasz firmowy znak, a także gwarancja, że można odrobić dystans wobec świata.

Lecz teraz, to już chyba nie. Bo że-

by wyprodukować ludzi umiędzących, potrzebne są dobre szkoły, uczelnie, dobre podręczniki oraz dobre biblioteki. Żeby zaś wyprodukować ludzi myślących, konieczne są dobre książki literackie, jak też dobre biblioteki. Otóż na biblioteki — te najpowszechniejsze: publiczne — przyszedł teraz najgorszy czas.

SŁOWA

Biblioteki publiczne, dlatego że edukacyjne, oferują swoje usługi bezpłatnie; koszty ponosi całe społeczeństwo, które przez to nie zbiednieje, a zyska. I nie jest to pomysł Lenina, Bieruta, ani nawet Kim Ir Sena. Tak jest na całym świecie: od Japonii po ZSRR i od Islandii po Nową Zelandię.

U nas biblioteki publiczne utrzymywały się (dychawicznie) z Funduszu Rozwoju Kultury, komuś jednak ten fundusz przeszkadzał, więc już nie istnieje, a biblioteki przeszły na garnuszek lokalnych samorządów. Jest to garnuszek dziurawy, więc obiecane pomoce z centralnej subwencji budżetowej. Obiecanki — wykiwanki.

Owszem, jest subwencja, ale na wszystkie lokalne potrzeby hurtem i dana jako zaliczka, ale tego nie powiedziano, więc samorządy przykrywają zamierzenia do pieniędzy uzyskanych, tj. 10—20 proc. kwot potrzebnych. Potrzeby bibliotek, w kontekście innych, nie mają stosownej siły przebicia i nie ma dla bibliotek ochronnego parasola, więc zdechną (dlatego, że samorządy nie wiedzą, co to za pieniądze dostały), mimo iż tyle było słów. Słowa, zamiast środków, działań i decyzji: to jest symptom amatorszczyzny. Kiedyś zagadamy się na śmierć.

Resort kultury i sztuki nie był oczywiście w stanie odwrócić biegu wydarzeń, mógł jednak zabiegać o rozwiązania lepsze, a już na pewno powinien był uprzedzić, na co się zanosi. Tymczasem nie z tego; skończyło się na pustych słowach.

Raz pani minister z emfazą oznajmiła w TV, że „zwyciężyliśmy”. Jeśli to jest zwycięstwo, to na czym pole-

ga porażka: na odstrzale bibliotekarzy? Zaś wiceminister w tymże resorcie — miast rzeczowej informacji — powiedział, że o wszystkim rozstrzygną samorządy, a tam nie śledzą ludzie dżicy. Była to wypowiedź wysoce odkrywca.

Z Sejmu zaś, gdzie wyklaskują każdego, kto mówi o kulturze, spłynął z Komisji Kultury i Środków Przekazu apel o spolegliwe potraktowanie bibliotek. Intencje szlachetne, natomiast praktyczny pożytek — żaden. Nie można działań zastąpić słowami, apelażami, ani zbiorem hasel: to jest droga donikąd. I na tej drodze mieści się wyobrażenie, że jacyś sponsorzy niepaństwowi utrzymają całą naszą kulturę. W tym wynędzniałym kraju? Smutny żart.

Podczas kampanii wyborczej o konieczności ochrony bibliotek wypowiedział się Lech Wałęsa. Nikt tego nie słyszał? Można odtworzyć. Są słowa, które powinny się liczyć.

FAKTY

Subwencje, przyznane miastom i gminom przed uchwaleniem ustawy budżetowej, są najwyraźniej zaliczkowe — co zresztą minister finansów mógłby wyraźnie napisać. W

(CD. NA STR. 2)

O krok od zapaści

(C. D. ZE STR. 1)

każdym razie większość zarządów miast oraz gmin, większość burmistrzów i wójtów, postanowiła wytrzymać nerwowo — bez pochopnych kroków, dopóki nie wyjaśni się co i jak. Niestety: dla przeciwwagi są również takie zarządy, tacy wójtowie i burmistrzowie, którzy nie wiedząc i nikogo o nic nie pytając, tną jak leci; już podjęli decyzje o likwidacji bibliotek. Spieszą się jak na darmowe przyjęcie.

Takie decyzje, w dwóch przypadkach na sto (po starannej analizie profesjonalnej) są ewentualnie nieuchronne, ale to nie może być mechaniczna, beztronna reguła. Przez czterdzieści pięć lat gromadzono księgozbiory, które są w tej chwili znakomite i na które po prostu nie ma ceny. I oto w ciągu kilku dni, bez żadnego rozpoznania sprawy, ktoś postanawia zlikwidować te instytucje, jakkolwiek nie są jego prywatną własnością. Czy to przypadkiem nie jest barbarzyństwo?

W samym Krakowie, oprócz niedostatku pieniędzy, są jeszcze inne kłopoty. Nie ma już dzielnic administracyjnych, istnieją natomiast dzielnicowe systemy biblioteczne, które powinny funkcjonować jako rejonowe (okręgowe) — bowiem zmiana struktur spowodowałaby ruiny i kosztowałaby miliardy, których brak. Niby oczywistość, jednakże nie ma wiążących decyzji, a w stanie zawieszenia funkcjonować nie można.

No i są dramatyczne pomysły czyn-

szowe niektórych właścicieli budynków, gdzie mieszczą się biblioteki. Jeśli władze miasta nie ostudzą tych apetytów stosownymi podatkami, to koniec. Nawiasem mówiąc, wśród czynszoborców, którzy zadławili biblioteki czynszami, są firmy państwowe, np. Geofizyka i Chemobudowa.

Z innych przyczyn znika biblioteka filialna przy ul. Brackiej. Natomiast za sprawą obłądnych czynszów do likwidacji zmierzają biblioteki: przy ul. Lea, przy Rynku Dębniekim, przy ul. Szkolnej, ogromna biblioteka przy ul. 18 Stycznia oraz jedyna w Polsce południowej biblioteka dla niewidomych przy ul. Starowiśniej. Ten ostatni, przerażający fakt niech wystarczy za cały komentarz.

Wszystko to dzieje się w mieście, oraz obok miasta, do którego w ramach KBWE zaproszono europejskich ministrów kultury. Ciekawe jak za kilka tygodni goście zareagują na degrengoladę tutejszych bibliotek? Organizatorzy myślą pewnie, że nikt się nie dowie, nie liczyłbym na to jednakże.

WRZUC MONETĘ

Niestety: wielu nowych członków samorządów i urzędników samorządowych choruje na raka niekompetencji, co — wraz z nadmierną pewnością siebie — odbija się nie tylko na stosunku do bibliotek. Lecz swoje znaczenie ma również naiwny mit reprodukcji prostej: sen o maszynce, która dwa dolary zamienia od razu w dolarów siedem. Dlatego przy-

pisuje się sens jedynie temu, co przynosi bezpośredni zysk.

Każdy musi zrozumieć, że inwestowanie w edukację oraz w kulturę, mimo braku zysków bezpośrednich, to inwestycja najrentowniejsza z rentownych. Daje bowiem przepustkę w XXI wiek.

Ponadto w antybibliotecznym trendzie pojawiają się wyszane z palca zarzuty, jakoby w bibliotekach roilo się od piśmiennictwa ideologicznego. To są wypowiedzi nie tylko kłamliwe, ale niemoralne. Jeden z drugim usiłuje bowiem wmówić (sobie?), że przez cztery dziesięciolecia komunizm opierał się wyłącznie na biurze politycznym i na bibliotekach — reszta była anty...

SAMO BRONA

Wbrew demagogicznym wypowiedziom, zabieganie o powszechny dostęp do edukacji oraz do kultury, nie jest postawą roszczeniową. U schyłku XX wieku, w Europie, takie niezwykłe prawo przysługuje wszystkim, przesądza bowiem o egzystencji państwa oraz społeczeństwa. Mamy być jedyni, którym nie?

Jest zresztą pytanie: co to znaczy „naród”? Bo o istnieniu narodu nie przesądza układ administracyjno-państwowy ani granica państwowa — dlatego istnieje np. naród arabski, chiński, estoński, gruziński. O egzystencji narodu decyduje wspólna historia, język i językowe wytwory (więc literatura), oraz wspólnota wartości niematerialnych. Czy nie o to chodzi w litewskiej tragedii? Kto tego nie pojął, ten nie rozumie niczego.

Poza tym: jeżeli miasto lub gmina wyjął się z bibliotek, całą swoją młodzież skaże na koszmary. Na razie bowiem, w peerelowskim spadku,

naład pracuje się i zarabia niezależnie od umiejętności i kwalifikacji, ale to już koniec. Za rok albo trzy sytuacja ulegnie zmianie: ten będzie miał pracę oraz zarobki, kto coś wie oraz coś potrafi. Im więcej — tym więcej. A bez bibliotek to niby skąd ma się brać ta wiedza oraz te umiejętności? Z telewizji, z rodzimych „świarszczyków”, z gadania różnych przemądrzałków?

Już teraz na wsi nie można kupić gazety, a prenumerata kosztuje podwójnie. Na wsi też, niedługo, liczba miejsc pracy zmniejszy się o połowę. Jaki wtedy los, bez bibliotecznej bazy edukacyjnej, czeka tamtejszą młodzież? Zamiatanie ulic w miastach? Nie ma tylu ulic. No więc jest nad czym pomyśleć.

Istnieje pilna potrzeba wsparcia — poprzez swoich radnych — postawy tych licznych zarządów i samorządów miast oraz gmin, które zapewniły bibliotekom elementarne warunki egzystencji. Istnieje też potrzeba jeszcze pilniejszej zmiany — w identycznym trybie — tych nielicznych decyzji (np. w gminie Biskupice), które bez dostatecznych powodów przesądziły o likwidacji bibliotek.

Lecz to nie wystarczy, problem jest bowiem ogólnokrajowy. Potrzebne są jeszcze listy, upominające się o biblioteki, adresowane do ministra kultury i sztuki (Krakowskie Przemieszczenie 15/17, 00-071 Warszawa), który po to jest, żeby chronić życie kulturalne w kraju — i adresowane do marszałka Sejmu (Wieżska 4/6, 00-489 Warszawa), bo postów też Państwo po coś wybierał.

Głosy społeczne nie mogą pozostać bez echa, bo to są głosy elektoratu. No i to jest jednak całkiem inna Polska.

Jacek Wojciechowski

Co nowego w prasie?

Do ważniejszych tekstów jakie ostatnio ukazały się w prasie, zaliczyć należy dyskusję pt. „Czy Polsce grozi teokracja?” (WIEŻ nr 11—12/90). Rozmowa prowadzona przez Stanisławę Grabską, ks. Michała Czajkowskiego i Zbigniewa Nosowskiego wyróżnia się obiektywizmem. Oto przykłady: ks. M. C.: To fakt — my, księża i biskupi, święcimy wszystko w tym kraju, co się da poświęcić. Machamy kropidłem na prawo i lewo. Inaugurujemy, zabieramy głos, wygłaszamy wszędzie mowy i kazania, odprawiamy niezliczone msze święte przy każdej okazji: patriotycznej, ogólnej i lokalnej. (...) Słyszysz się przeciw obawie ludzi bardzo poważnych i mocno związanych z Kościołem, że jest tutaj jakaś przesada, nawet jeśli zrozumieliśmy psychologicznie i historycznie. Ale z drugiej strony spotykamy też reakcje niesprawiedliwe (...) histerie, nagonice, (...) slogany o czarnej sotni, czarnej nomenklaturze, czarnej dyktaturze, tranizacji itp. W dalszym ciągu dyskusji wszyscy zgodzili się, iż jakby zgodnie z tą histerią działają grupy typu narodowo-katolickiego. S. G.: uważają, że katolicy mają monopol na rację, że wszystkie funkcje publiczne powinny być obejmowane przez katolików. Wskazując na dość stonowane brzmienie komunikatów Episkopatu jako całości, przypomniano mało tolerancyjne wypowiedzi niektórych biskupów. Ks. M. C.: jak wynika z dotychczasowej naszej rozmowy — pewne niebezpieczeństwo klerykalizacji istnieje i są nawet jakieś jego symptomy. S. G.: zagrożeniem jest nie tyle klerykalizacja, co raczej ogólna fanatyzacja postaw i — co za tym idzie — rzucanie się ludzi na siebie nawzajem z oskarżeniami. Szukając remedium, dyskutanci mówili o ekume-

nizmie, zauważając jednocześnie, że praktyczna realizacja jego zasad wciąż nie jest u nas zbyt łatwa, podkreślano też konieczność nauczania kultury politycznej. Wobec ataków na Kościół i na katolickie zasady moralne należy „rzetelnie pracować nad tym, jaka ma być nasza postawa moralna jako ludzi wierzących. Tylko tym rozporządzamy, jako remedium. Dyskusję zakończył ks. M. C.: „my tak chętnie piętnujemy z amboną każdą krytyczną wzmiankę na temat naszej pracy (...) jako atak na Kościół. (...) To jakaś alergja, czasem paranoja, brak poczucia humoru. A może to przekonanie, że się należy jakieś przywileje, bo pokonałismy komunizm? Nie bójmy się krytyk, raczej cieszymy się z nich, zwłaszcza, gdy wypowiadają je zatroskani chrześcijanie.

TYGODNIK Powszechny (nr 6/91) drukuje ogromny blok listów Thomasa Mertona i Czesława Miłosza z lat 1958/59. Korespondencję tę zapoczątkował Merton; zaciekawiony lekturą „Zniewolonego umysłu”, zwrócił się do Miłosza z prośbą o wyjaśnienia. Wywiązała się z tego wymiana myśli i przyjaźń, trwająca aż do śmierci Mertona w 1968 r. Drukowane obecnie listy dotyczą literatury i kultury, światopoglądu obu pisarzy i ich życia duchowego. Ważna i ciekawa lektura.

W PO PROSTU (nr 5/91) rozmowa z Mirosławem Kowalskim, redaktorem naczelnym Niezależnej Oficyny Wy-

dawniczej „Nowa”. Szef najważniejszego z podziemnych wydawnictw, od czerwca ub. r. działającego oficjalnie, jest dobrej myśli. Rok 1990 firma zakończyła zyskiem. Największy sukces finansowy przyniosły „Rozmowy z Grzegorzem Piotrowskim” Fredry-Bonieckiego (100 tys. nakładu w przygotowaniu II wydanie) i „Wiara i wina” Kuronia (70 tys.). W planie r. 1991 brak bestsellerów (może z wyjątkiem „Z dziejów honoru w Polsce” Michnika). Kowalski potwierdza, że coraz trudniej o hity, a w ogóle czytelność spada. W przyszłości obok „Nowej”, która zachowa swój profil, powstanie wydawnictwo komercyjne; będzie ono wydawać literaturę lżejszą, zarabiającą na „Nową”.

Warto zwrócić uwagę na ukazujące się w Krakowie piśmo TUMULT „przegląd ideograficzny” (tak w podtytule). Jest to prywatny periodyk (miesięcznik?) redagowany przez Marię Annę Potocką znaną krakowską animatorkę życia artystycznego i marszandkę, poświęcony kulturze i sztuce, zwłaszcza plastyce. Ukazał się już kolejny, ósmy numer, a w nim m. in. teksty Sołżenicyna, J. J. Szczepańskiego, Apollinaire’a, poezje Edmonda Jabesa, wywiady, m. in. z B. Schaefferem, artykuł L. Elektorowicza, przypominający losy literatury krajowej w ostatnim 45-leciu, a także recenzje i omówienia plastyczne. Najciekawsze, że to ambitne pismo o bardzo efektownej i starannej szacie graficznej drukuje się w prywatnym zakładzie poligraficznym w Sieprawiu, wiosce koło Myślenic.

Najbardziej sensacyjną wiadomością z krajowego życia kulturalnego podał PRZEGLĄD TYGODNIOWY (nr 6/91) w rubryce „Przegląd kulturalny”: wicedyrektor departamentu w Ministerstwie Kultury i Sztuki zarabia tyle samo, co kierowniczką gminnej biblioteki.

„Nowe Życie Literackie” i stare praktyki

Zespół starego i nie istniejącego „Życia Literackiego” od dłuższego czasu atakuje publicznie „Dekadę Literacką” i członków Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Chodzi im o to, że uworzenie „Dekady Literackiej” — rzekomo uniemożliwiło reaktywowanie starego „Życia...” pod nieco zmienioną nazwą („Nowe...”). Ich zdaniem, pieniądze, które „DL” otrzymała od Komisji Likwidacyjnej RSW „Prasa” mogłyby — i powinny — być wydane na odtworzenie ich redakcji.

Po pierwsze — „DL” jak na razie nie otrzymała żadnych pieniędzy. Ukazuje się zamiast sobotniego dodatku „Gazety Krakowskiej” i po jego tzw. kosztach. Tak było od początku i tak jest do dziś. Poza Dorotą Terakowską nikt z zespołu „Dekady” nie ma etatu ani ryczałtu czy choćby umowy o dzieło, żeby nie stwarzać kłopotów finansowych redakcji, która wysłała naprzeciw potrzebom środowiska literackiego, tworząc „DL”. Oczywiście „Dekada” szuka sponsorów, żeby się uniezależnić i nie obciążać „Gazety Krakowskiej” swoim istnieniem, ale jeszcze ich nie znalazła.

Po drugie — „Życie Literackie” zostało zlikwidowane, ale nie przez powołaną za sprawą premiera RP komisję, lecz z inicjatywy byłego prezesa byłego partyjnego koncernu RSW, Sławomira Tabkowskiego — bowiem nawet temu mało oszczędnemu monopolistom z PZPR przynosiło wstyd i potężny deficyt. Dlaczego zatem miałaby je wskrzeszać jakakolwiek instytucja rodem z Rzeczypospolitej?

Po trzecie — zanim powstała idea stworzenia „Dekady Literackiej”, nasze Stowarzyszenie Pisarzy Polskich (Oddział w Krakowie) już dawno odmówiło poparcia inicjatywie Marii Malatyńskiej, żeby wskrzesić dawne „Życie Literackie”.

Jakie są przyczyny, że środowisko to nie ma i nigdy nie miało zamiaru współpracować ze starym — nowym „Życiem Literackim”?

Po pierwsze — w latach stanu wojennego i potem, aż do 1989 r. na łamach „ZL” pisywali Franciszek Szlachet i Mieczysław Moczar, generałowie z MSW.

Po drugie — stałym autorem stał się plk Jacek Majchrowski, także z MSW, który specjalizował się — właśnie na łamach „ZL” — w pomawianiu, opluwaniu i składaniu donosów politycznych na polskie krajowe i emigracyjne środowiska twórcze. Pomagał mu w tym dzielnie Władysław Machajek.

Po trzecie — jednym z autorów był Zdzisław Uberman, który w cyklu „Pawłani i papugi” obrażał naszych kolegów i przyjaciół, związanych z radiostacją „Wolna Europa”.

Po czwarte — nie pytając nikogo o zgodę „ZL” podjęło drukowanie w odcinkach „Doktora Żiwago” Borysa Pasternaka, lekko tylko retuszując oryginalne i jedyne wówczas tłumaczenie Jerzego Stempowskiego z Paryża — podpisując własnych, fikcyjnych „tłumaczy” — co było poważnym nadużyciem prawa autorskiego.

Nie będziemy wymieniać więcej „zasług” redakcji „Życia Literackiego” z lat osiemdziesiątych, a było ich sporo. Nigdy nie słyszeliśmy, by zespół — nazywający dzisiaj siebie „Nowym Życiem Literackim” — w którym byli także Maria Malatyńska, Stefan Cieplny i Andrzej Sabatowski — składał kiedykolwiek publiczny protest w sprawie praktyk macierzystej redakcji bądź by chciał ją opuścić, aby zachować godność. Przeciwnie w stanie wojennym odeszli, właśnie na znak protestu, najcenniejsi współpracownicy „ZL”. Malatyńska, Sabatowski i Cieplny zostali. Skoro nie protestowali wtedy, nie byli wobec środowiska solidarni — nie dziwimy się, że dzisiaj powtarzają dawne praktyki, jak za „awnych, dobrych lat”.

„Oświadczenie” spółdzielni pracy „Nowe Życie Literackie” pani Maria Malatyńska wysłała nie tylko do wszelkich możliwych redakcji, które — jak „Czas Krakowski” — drukują je bez komentarza. Dzięki jej inicjatywie dotarło ono ponad do Kancelarii Prezydenta RP, Lecha Wałęsy!

Doprawdy, funet bywa zabawny, gorzej — gdy jest żalony.

Zespół „Dekady Literackiej”
członkowie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

EGZORCYZMY

Tomas Tranströmer

Tomas Tranströmer jest czołowym szwedzkim poetą. Był kandydatem Octavio Paz'a do ubiegłorocznej Nagrody Nobla.

W Polsce tłumaczony był wrywkowo, dwa ostatnie jego tomiuki ukazały się w wydawnictwie „Miniatura”, tłumaczone przez Leonarda Neugera. W tym roku Oficyna Literacka zapowiada obszerny wybór jego liryki.

W 7 nrze „Dekady Literackiej” prezentowaliśmy pierwodruki jego dwóch wierszy. „Egzorcyzmy” są pierwszą próbą prozatorską Tranströmera.

Zimą, kiedy miałem 15 lat, doznałem ogromnego lęku. Dopadł mnie reflektor wysyłający ciemność zamiast światła. Dopadał mnie każdego popołudnia, gdy zaczynało się zmierzchać, i lęk nie puszczał wcześniej niż nazajutrz o świcie. Spałem bardzo mało, siedziałem na łóżku, na ogół z grubą książką przed sobą; czytałem wówczas wiele grubych książek, ale właściwie nie mogę powiedzieć, że je przeczytałem, nie bowiem nie pozostało w pamięci. Te książki to był pretekst, by mieć zapaloną lampę.

To się zaczęło późną jesienią. Pewnego wieczora byłem w kinie i widziałem „Stracone dni”, film o alkoholiku. Na końcu dostaje delirium — wstrząsająca ekwenoja, którą dziś bym pewnie uznał za dziecinną. Ale wtedy...

Gdy położyłem się i już miałem zasnąć, odegrałem film w moim wnętrzu, jak to się zwykle robi po seansie.

Atmosfera w pokoju z nagła zgęstniała od strachu. Coś wzięło mnie bez reszty w posiadanie. Nieoczekiwanie moje ciało zaczęło trząść się; szczególnie nogi. Byłem zabawką mechaniczną, którą nakręcono i która teraz trzęsła się i podrygiwała bezradnie. Skurcze były zupełnie poza kontrolą woli. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic podobnego. Zawołałem o pomoc i mama weszła do pokoju. Stopniowo skurcze

odplynęły. I już nie wróciły. Ale strach pogłębił się i stał się stałym towarzyszem od zmierzchu do świtania. Uczucie, które władało nocami, to był ten strach, do którego zbliżył się Fritz Lang w niektórych scenach nocnych w „Testamencie doktora Mabuse”, przede wszystkim w scenie początkowej: drukarnia, gdzie ktoś się ukrywa, podczas gdy maszyny idą i wszystko wibruje; natychmiast rozpoznawałem siebie. Ale w moje noce było ciszej.

Najważniejszym wymiarem była Choroba. Świat był ogromnym szpitalem. Widziałem przed sobą ludzi zniekształconych na ciele i duszy. Lampa płonęła próbując utrzymać na zewnątrz te okropne twarze, lecz czasem przysypiałem, powieki opadały i te okropne twarze z nagłą pojawiały się tuż przy mnie.

Było cicho, lecz głosy działały cały czas w tej ciszy. Wzór na tapecie stroił miny. Od czasu do czasu ciszę przerywało tapanie w ścianach. Co je wywoływało? Kto? Ja sam? Trzaskało w ścianie, ponieważ moje chore myśli tego chciały! Jeszcze, jeszcze straszniej... Czy byłem chory psychicznie? Na granicy.

Nie bałem się ześlizgnąć w szaleństwo, w ogóle nie czułem, jakoby mi groziła jakaś choroba — to nie był przypadek hipochondrii — nie, grozę budziło całkowite panowanie choroby. Jak na filmie, gdzie

beztroskie wnętrza mieszkania całkowicie zmienia charakter, gdy włącza się budząca lęk muzyka, tak teraz zacząłem na nowo odczuwać świat zewnętrzny, dlatego że miałem świadomość, że choroba tam właśnie panuje. Parę lat wcześniej chciałem zostać podróżnikiem-odkrywcą. Teraz przedostałem się do nieznanego kraju, gdzie nigdy nie chciałem się znaleźć. Odkryłem złą władzę. Albo mówiąc poprawnie: zła władza odkryła mnie.

(Zupełnie niedawno przeczytałem o kilku nastoletkach, którzy utracili radość życia, ponieważ opanowało ich przeświadczenie, jakoby AIDS przejął władzę nad światem. Oni by mnie zrozumieli.)

Mama była świadkiem tych skurczy owego późnojesiennego wieczora, na po-



Wiktor Simiński — „Obłąd”, grafika (1942 r.)

czątku kryzysu. Ale następnie należało ją trzymać na zewnątrz. Wszystkich należało trzymać na zewnątrz: to, co zachodziło, było zbyt okropne by o tym mówić. Byłem otoczony duchami. Sam także byłem duchem. Ten duch co ra-

no szedł do szkoły i siadał do lekcji nie odkrywając swej tajemnicy. Szkoła stała się chwilową ulgą: lęk nie był tam równie silny. Nawiedzaniu poddawane było prywatne życie. Tak więc wszystko było odwrócone do góry nogami.

W tym okresie byłem nieufny względem wszelkich religii i żadnych modlitw nie odmawiałem. Gdyby kryzys przyszedł kilka lat wcześniej, potrafiłbym go przeżyć jako swego rodzaju objawienie, coś by mnie przebudziło, coś jak cztery spotkania Sidharty (ze starcem, z chorym, z nieboszczykiem i z mnichem-żebrakiem). Umiałbym wzbudzić w sobie trochę więcej współczucia i trochę mniej strachu wobec tych zniekształconych chorych, którzy pojawili się w świadomości nocnej. Lecz wtedy, gdy wystąpił lęk, nie miałem do dyspozycji żadnych religijnie zabarwionych wyjaśnień. Modlitw — żadnych, za to próby usunięcia d'abła za pomocą muzyki. Wtedy właśnie zacząłem na serio łupać w pianino.

I cały czas rosłem. Na początku semestru jesiennego byłem najmniejszy w klasie; pod koniec semestru wiosennego — jednym z największych. Jakby lęk, w którym żyłem, był nawozem, który sprawił, że roślina wystrzeliła w górę.

Zima miała się ku końcowi i dni były coraz dłuższe. I wtedy nastąpił taki oto cud, że także w moim własnym życiu ciemność zaczęła się cołać. To zachodziło stopniowo i zabrało trochę czasu, zanim to sobie uświadomiłem. Pewnego wiosennego wieczora odkryłem, że lęk jest już marginalny. Siedziałem z kilkoma kolegami i filozofowałem (paląc cygaro); należało już wracać do domu jasną nocą wiosenną, a ja zupełnie nie odczuwałem, jakoby w domu czekały mnie przerażenia.

A jednak to jest coś, co mi pozostało. Być może moje najważniejsze doznania. Ale kres nastąpił. Myślałem, że to Inferno, a to było Purgatorium.

Tłumaczył

Leonard Neuger

Z pokolenia na pokolenie

Z Janem Łozefem Szczepańskim rozmawia Adam Michajłow

▲ Jednym z głównych wątków Pana piśmiennictwa jest współczesny kryzys wartości. Jak to się dzieje, że wraz z jego pogłębianiem się — paradoksalnie — coraz mniej jest miejsca na odwagę i bohaterstwo?

— Mnie się wydaje, że nie ma w tym żadnego paradoksu. Dany układ stosunków warunkuje określone reakcje, także w sferze etycznej. Czymś innym jest etos walki, a czymś zupełnie odmiennym jest etos gry czy etos bogacenia się. Mnie to absolutnie nie dziwi. Jest to zresztą zjawisko, które można łatwo zaobserwować gołym okiem. Wystarczy sobie przypomnieć atmosferę działań „Solidarności” sprzed kilku lat i porównać z obecną atmosferą stosunków politycznych, kiedy „Solidarność” stała się główną bazą rządzącego establishmentu.

▲ Z czym w najnowszej literaturze nie potrafił się Pan pogodzić, czego nie może Pan zaakceptować?

— Bardzo bym był skłonny zaakceptować wszystko, tak jak się akceptuje rzeczywistość. Ale są w przejawach najnowszej i najmłodszej kultury literackiej pewne zjawiska, których ja po prostu nie rozumiem. To jest coś innego niż brak akceptacji. Ja po prostu nie rozumiem, tak jak nie rozumiem się obcego języka. Nie przykładałbym do tego miarki jakichś wartościowań estetycznych czy tym bardziej moralnych. Po prostu kolejne pokolenia reprezentują kolejne języki. Niektóre z tych języków jest stosunkowo łatwo opanować, inne pozostają czymś tajemniczym. Dobrym przykładem może tu być kolumna młodzieżowa w *Tygodniku Literackim* pt. *Koľbaskowo*, która mnie irytowała, ponieważ ja niczego nie rozumiałem z tego, co tam pisano: ani typu humoru, ani nawet słownictwa. Możliwe, że te nowe zjawiska są symptomem pewnej uzasadnionej postawy, ale ja mam takie złudzenie, czy przekonanie, które może jest złudzeniem, że istnieje metafizyka kultury, obowiązujący bez względu na upływ czasu. Dlatego patrzę na te zjawiska krańcowe, jaskrawe, jako na przejściowe zjawiska adaptacji, które z czasem zostaną sprawadzone do wspólnego mianownika tradycji, przechodzącej z pokolenia na pokolenie!

▲ Wraz z upływem czasu II wojna światowa przestaje być żywym doświadczeniem, a staje się jedynie martwym faktem historycznym. Czy dostrzega Pan możliwość aktualizacji doświadczeń tej wojny? Jaki ewentualnie sens mogłaby mieć taka aktualizacja?

— Mam wątpliwości, czy możliwe jest przywrócenie tamtych doświadczeń. Nie wiem zresztą, co można by przywrócić — pewien rodzaj wrażliwości, zespół jakichś norm?

Pozwolę sobie zrobić komentarz na temat stosunku mojego pokolenia do przeszłości, która była wówczas tak samo odległa od nas, jak dzisiaj jest II wojna światowa od pokolenia młodych pisarzy wstępujących w życie publiczne. Otóż

pamiętam, że dla nas, ówczesnie bardzo młodych ludzi, tradycja I wojny światowej, wspomnienia starszego pokolenia, jego przeżycia — to wszystko należało do sfery romantyzmu. To nas niesłychanie intrygowało i budziło rodzaj zazdrości. Kiedy słyszałem o przygodach konspiratorów sprzed I wojny światowej, to im zazdrościłem. Wydawało mi się, że mieli życie bez porównania barwniejsze i ciekawsze. Oczywiście nie wiedziałem, co nas czeka. Dziś takiej zazdrości nie dostrzegam u młodego pokolenia. Wydaje mi się, że odpowiedzialny za to jest zarówno charakter II wojny światowej, jak i to wszystko, co nastąpiło potem. I wojna przyniosła spełnienie i nagrodę — podczas kiedy ta zakończyła się kolelną klęską, jej mīt został przyćmiony, jeśli nie skompromitowany, przez tragiczne wydarzenia powojenne. Sytuacja jest więc zupełnie inna. Nie ma psychologicznego uzasadnienia przywracanie uczuciowości, sposobu myślenia, postaw, jakie charakteryzowały pokolenia przedwojenne.

▲ Urodził się Pan w Warszawie, ale na stałe związał z Krakowem. Mogłoby Pan powiedzieć, co zawdzięcza Krakowowi?

— Mimo że spędziłem tutaj olbrzymią większość mojego dorosłego życia, właściwie nie czuję się związany z Krakowem, tak jak bywali związani z Lwowem czy z Wilnem ludzie tam urodzeni. Przede wszystkim zawdzięczałem Krakowowi to, że znalazłem tutaj bardzo interesujące i wartościowe środowisko. Sądzę, że gdybym w tych najtrudniejszych czasach, kiedy jeszcze nie mogłem się uważać za człowieka w pełni uformowanego, kiedy zaczynałem swoje życie pisarza, znalazł się w Warszawie, to niebezpieczeństwo wciągnięcia w ówczesne establishmentowe układy pisarskie byłoby dla mnie bez porównania większe. Kraków uchronił mnie od pewnego rodzaju kapitulacji.

▲ A czy niepowtarzalny klimat krakowski jest dla Pana rzeczywisty, czy też jest fikcją, zbiorowym złudzeniem?

— Na pewno jest w tym mieście swoista atmosfera. Wynika to przede wszystkim z tego, że Kraków jest jednym z kilku zaledwie miast w Polsce, które nie zostały zniszczone w czasie wojny i w których nie doszło do radykalnego przemieszania ludności. Zachowała się tu tradycja artystyczna — tworzona chociażby przez Grupę Krakowską czy późniejszy teatr Kantora *Cricot 2*, który był kontynuacją istniejącego przed wojną *Cricot*. Charakterystycznym składnikiem krakowskiej atmosfery jest też *Płunice pod Baranami* — zjawisko absolutnie nie dające się przetransplantować na żaden inny grunt. Wypada też wspomnieć o Uniwersytecie Jagiellońskim i o odradzającym się środowisku naukowym, które przed wojną było tak silnie reprezentowane w Polskiej Akademii Umiejętności. Myślę, że Kraków jest miastem o odrębnej fizjonomii, miastem, które wnosi w kulturę narodową bardzo swoiste wartości.

Wspomnienia więzienne

(CD. ZE STR. 1)
do namysłu i grzecznie poze-
gnaliśmy się.

Ale, kiedy zdaniem zwierzchności, moja lojalność obywatelska nie osiągnęła wymaganego poziomu, wezwano mnie (powtórnie nocą) do pułkownika. Tym razem musiałem już stać na baczność przy drzwiach, nie było mowy o fotelu czy papierosie, natomiast posypała się na mnie grzmiąca perora z groźbami zniszczenia mnie wraz z rodziną.

Nastąpiła przerwa

w przesłuchaniach. Widać zeznawano z mej lojalności. Przypuszczałem, że gotuje się wspólna sprawa „Unii”. Czekałem na dalsze przesłuchanie, a przez okienko piwniczne mogłem obserwować wieczerę ułankowo radosną uroczyście połączenia partii.

Sledztwo moje w Krakowie i kolejno w Warszawie trwało okrągło przez dwa lata. Cierpliwość była znakomitą zaletą władz śledczych, liczących na znużenie więźnia nieustającym młóceniem tych samych okoliczności, by je ukształtować w wytyczony z góry schemat, by z nastrojów o pozycyjnych i niegroźnych wystąpien skłócić nieblahe oskarżenie.

Trzeba tu dodać, że podczas śledztwa obowiązywała ścisła izolacja więźnia od rodziny i od sfery wolności (żadnej korespondencji i odwiedzin — poza paczkami żywnościowymi) tak, że tylko z napisów na paczkach domyślałem się spraw domowych. Nie było nawet spaceru w obrębie więzienia, zapewne, aby zapobiec próbom przekazania wiadomości na zewnątrz murów. Pozostawało więc siedzenie w celi.

Powróćmy jeszcze na plac Inwalidów.

Jednego dnia — jak to zwykle: trzask-prask — wywołano mnie z celi i po póżniejszej odprawie zawieziono w asyście dwóch milicjantów do osobowego pociągu warszawskiego. Tak komfortowo w osobnym zarezerwowanym

przedziale I klasy dojechaliśmy pomyślnie do stolicy. Tam przewieziono mnie z całym majątkiem do okazałego gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa przy ulicy Koszykowej, gdzie po rytualnej odprawie znalazłem się znów w piwnicznej celi, witany z ciekawością jako nowy. Po wyjaśnieniach koledy uważali mnie jako przeznaczony na wolność, jako że przez cały okres pobytu w podziemiach na Koszykowej ani razu nie wywołano mnie na przesłuchanie. Znawczy oceniali, że badano widocznie „na gorze” przywiezione akta krakowskie, by zdecydować o zwolnieniu. Tak i mnie się wydawało w mej naiwności oseska kryminalnego.

Miałem więc czas

na obserwację i medytację. Piwnica była rozległa, jak nie przymierzając katakumby, rozgałęziony system korytarzy tworzył labirynt dość ruchliwy za dnia, gdyż prowadzono więźniów na przesłuchania „na gorze” i z powrotem, tak że cyrkulacja była nieustanna. Załoga dozorców składała się z tzw. „francuzów”, tj. reemigrantów z kopalń francuskich, którzy szwargotali między sobą gwarową francuszczyzną. Prowadząc więźnia przez labirynt korytarzy musieli uważać, by w ciastym przejściu nie zetknął prowadzonego więźnia z prowadzonym z przeciwnika. Wymagała tego ostrożność, by zapobiec możliwemu choćby mimicznym porozumieniu się więźniów. Tak więc „francuzi” stale poświętywali, co dawało im orientację, że natkną się za załomem na parę idącą z przeciwnika. Wtedy jeden z nich zatrzymywał swego podopiecznego i odwróciwszy go do ściany, wyczekał aż kolega minie go i przeprowadzi swego. Po czym ruszał dalej wciąż pogwizdując.

Cud w izolacie

W jednym z korytarzy była

tzw. buda, więc szczegół budowy o nie określonym pierwotnym przeznaczeniu. Ale pomyślnie dozorców znalazła dla niego zastosowanie, mianowicie jako izolatkę dla skruszenia opornego więźnia. Bowiem niska powała budy nie pozwała stanąć prosto, a przestrzeń życiowa była w niej mniej niż skromna. Zamykano w niej także na podorzędziu byle kogo i byle co, kiedy nadmierny ruch w korytarzu wymagał zluźnienia. Otóż zdarzyło się, że jeden z „francuzów” — przy panującym stale pośpiechu i kolomacie, odwołany do innego zatrudnienia wstawił do budy niesiony półmisek kotletów, przeznaczonych dla uprzywilejowanych cel więźniów (tak, tak!). Nie spostrzegł się, że siedzi tam już skurczony jak ślimak w skorupie więzień. Zatrzasnął budę i pobiegł do innych zajęć. Można sobie wyobrazić zdumienie więźnia poczesowanego tak niespodziewanie i tak obficie. Nie próbując rozwikłać zaskakującej taktyki władz więziennych, częstujących więźnia to izolatką, to półmiskiem kotletów, spalał się je spleśnie, słusznie przewidując, że taka cudowna bajka więcej się nie powtórzy.

O epilogu sprawy nie dowiedziałem się (...)

Nie jeden więzień żegnał się ukradkiem, kiedy wyrwany go na sledztwo. Był taki rozkład dnia, że niedługo po śniadaniu wywoływano z celi, a wiadomo było po co. Nasłuchiwalismy też pilnie i z napięciem, w jakiej kolejności trzaskały drzwi i dudniły potem kroki po żelaznych gankach — aby wyznać się, czy ruch ten obejmie także naszą celę i kogo. Po pewnym czasie ruch ustawał i można było odetchnąć, bo zasadniczo tego dnia nie było już wezwań. Jednych wołano często, nawet co dzień. Innych trzymano na „bocznym torze”, a było to również denerwujące, bo nie wiadomo było, czy właśnie dziś nie urwie się ta kwarantanna, a zacznie się „polka”.

Na przesłuchania prowadzono podziemnym (o ile pamiętam) korytarzem do sąsiedniego, osobnego budynku. Tam w niewielkim pokoju więzień meldował się siedzącemu za biurkiem śledczemu w postawie na baczność. Po czym na rozkaz siadał na zydlu w kącie pokoju też „na baczność”, tj. wyprostowany, stopy złączone, dłonie płasko złożone na kolanach. Śledczy czyli śledz prowadził swoją czynność bardziej lub mniej brutalnie. Co najmniej śledz aplikował „gimnastykę” kiedy przesłuchanie nie szło po jego myśli i trzeba było poskromić opornego; nakazywał więc wykonywanie serii głębokich przysiadów i powstań, aż do zmęczenia i utraty tchu. Do potocznego zwyczaju należały obelżywe odezwania, a były i umyślne wiązanki rytmiczne.

O wyznaczonej porze przynoszono śledziowi posiłek (drugie śniadanie?) w postaci smakowitych kiełbasek na gorąco czy porcji mleka z ciastem. Spożywał je z apetytem, nie przerywając przesłuchania i drażniąc tym więźnia.

Śledzie zmieniali się. Były też wśród nich różne „piętra” umiejętności w przesłuchiwanu, w stosowaniu metod śledczych psychicznych czy fizycznych. Obok doświadczonych speców (rozróżniano wśród nich „bijaków”, nazwa tłumaczy się sama), pracowali na zmlanę — jak umieli — debiutanci. Szkolono ich systematycznie, co łatwo było obserwować. Siadał taki żółto-dziób za biurkiem zaopatrzonej w kartkę z instrukcją, którą chował w szufladzie, by na nią zerkać w potrzebie. Doświadczony więzień orientował się w niedostatkach dziewięcigo śledzia, odpowiadał stereotypowo, przekręcał tak na swoją korzyść. A tamten, nie wyznając się jeszcze na przemysłowości więźniów, pisał wiernie w protokole, co usly-

szal. Nazajutrz pieklił się, dał protokół z poprzedniego dnia w kawałki i zaczynał na nowo. Tym razem różnie, bo widać zwierzchnicy poczuli go tymczasem, że dał się nabrać. Byli to w większości młodzi ludzie ze wsi, świeżo odziani w mundury z perspektywą awansu, ludzie o rosnącej ambicji i poczuciu ważności. Zdarzyło się, że takim niewypierzonym jeszcze młodzikowi wyjaśniałem zasady materializmu historycznego, które on skwapliwie notował w notesie zaniedbując protokół i zeznanie, które obowiązywały był wydcibić.

Pułkownik Różański

Oczywiście czujną opieką nad całością i taktyką danego sledztwa sprawowała góra. Postacią budzącą lęk był pułkownik Różański, były adwokat lwowski i brat Jerzego Borejczy, który w roku 1945 pojawił się w Krakowie w stopniu majora Dywizji Kościuszkowskiej i objął funkcję redaktora „Dziennika Polskiego”. Dał się potem poznać jako organizator i entuzjasta nowego porządku w organizacji kultury.

Wnym śladem podążał w nowej rzeczywistości brat Różański. Zajmował się ważniejszymi przypadkami sledztw, zjawiał się wtedy na Mokotowie (bo urzędował w Ministerstwie Bezpieczeństwa), by nadać właściwy kierunek sprawie, jeśli w jego pojęciu kulała. Zachowywał maniere dystyngowane i na dobitkę perfumował się mocno. Po tym górującym w budynku zapachu poznawano, że „on” jest w akcji, co każdego przejmowało dreszczem.

Tadeusz Kudliński

CDN.

Cenzura poza cenzurą

Zygmunt Hübner

Oto trzeci i ostatni fragment przygotowanej do druku przez Wydawnictwo Literackie książki Zygmunta Hübnera, w której opisuje on mechanizmy działania cenzury. W tym roku, w styczniu, minęła pierwsza rocznica śmierci tego wybitnego twórcy teatralnego, aktora i reżysera, związanego kiedyś także ze Starym Teatrem.

Łudziłby się ktoś sądząc, że zjawisko „cenzury poza cenzurą” nie występuje w demokracjach zachodnich. Tam, gdzie cenzura prewencyjna została zlikwidowana, instytucje państwowe bądź organizacje polityczne potrafią niekiedy spowodować, aby nie chiane dzieło nie ujrzało światła dziennego. Mechanizm jest nieco inny, istotna różnica polega bowiem na tym, że nacisków i zakazów nie udaje się tu ukryć przed opinią publiczną, a poszkodowany może się bronić. Sprawa staje się głośna, wzbudza protesty, które często gęsto zmuszają owych cenzorów z powołania do zmiany stanowiska. Metody działania dyktuje sytuacja. Przyjrzyjmy się paru przykładom z lat ostatnich.

„Monstrualne i niebezpieczne”

Tylko w roku 1985 miały miejsce dwie afery, które odbiły się szerokim echem w prasie. Jedną, we Francji, spowodowała była zakazem wyświetlania w telewizji dokumentalnego filmu „Terrorysta na emeryturze” Mosco Boucoullia, przedstawiającego losy grupy Żydów — członków Résistance. Decyzja została podjęta przez kierownictwo programowe TV wskutek kampanii prowadzonej przez Francuską Partię Komunistyczną i grupę byłych członków Ruchu Oporu, ponieważ film ukazywał niechlubną rolę, jaką w okresie okupacji niemieckiej odegrali komuniści wobec Żydów werbowanych do akcji sabotażowych, a następnie zostawianych własnemu losowi, jeśli nie wręcz denuncjowanych do gestapo. Socjalistyczny rząd francuski postanowił uniknąć bezpośredniego starcia z Partią Komunistyczną, której głosy dopomogły mu dojść do władzy. Kiedy jednak nie udało się ukryć sprawy pod korcem, szef Kanalu Drugiego TV, mającego film emitować, powołał „honorowe jury” złożone z byłych przywódców Résistance. Jury potwierdziło, że filmu pokazywać nie należy, nie podając jednak żadnych motywacji. „Monstrualne i niebezpieczne precedensy” — pisała prasa. W rzeczy samej precedens zdarzył się wcześniej, gdy za czasów de Gaulle'a przez dziesięć lat zakazany był film telewizyjny „Smutek i żal” („The Sorrow and the Pity”) mówiący prawdę o kolaboracji Francuzów z Niemcami w czasie wojny.

Gdy Mitterrand zabiegał o fotel prezydencki, obiecywał, że nie dopuści do inspirowanej przez rząd cenzury telewizji. Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał.

„Mamusia wie lepiej”

Drugą, analogiczną przypadkiem miał miejsce w Anglii, doprowadzając do jednodniowego strajku pracowników BBC. Tym razem przyczyną był zakaz dotyczący filmu „At the Edge of the Union”, dokumentu na temat Północnej Irlandii. Nacisk pochodził tym razem bezpośrednio od Lenna Brittana, pełniącego funkcję sekretarza (Home Secretary) premier Margaret Thatcher, która kilka miesięcy wcześniej była obiektem zamachu IRA. Stwierdziła wówczas, że terrorystom należy odmówić „the oxygen of publicity”, w filmie zaś znalazły się wywiady z przywódcami IRA. Gdy sprawa stała się głośna a rząd znalazł się pod zarzutem restytuowania cenzury, Brittan oświadczył, że niczego nie zakazywał, wyraził jedynie swoje obiekty, do czego ma prawo każdy obywatel. Również powoływana przez rząd rada teoretycznie niezależnej BBC stwierdziła, że wstrzymanie emisji nie było efektem nacisków Home Office, lecz błędów inkryminowanego filmu, w którym akcenty były niewłaściwie wyważone.

„Niestety, nasza rada nadzorcza, która miała być stróżującymi psami wolności, nie zaszcześciła”, powiedział Vincent Hanna z National Union of Journalists, przywódca liberalów zaś David Steel skorzystał z okazji, aby uczynić spostrzeżenie ogólniejszej natury: „Ingerencja w BBC jest typowa dla szkoły rządzenia kierującej się hasłem „Mamusia wie lepiej”, której premier jest tak wybitnym przedstawicielem”. („Time” 19. 08. 1985). Początkowo zdawało się, że strajk pracowników BBC i protesty sądowe spowodują, że film znajdzie się wkrótce na ekranach telewizorów. Potem dyrektor generalny BBC zmuszony był jednak przyznać, że nie nastąpi to w najbliższym czasie.

Posłużyłem się przykładami doty-

czącymi telewizji, która jest medium szczególnie wrażliwym na problematykę polityczną i ze względu na swą masowość czujnie obserwowanym przez rząd. Czy jednak podobne wypadki zdarzały się w teatrze? W roku 1971, nieszczęsny Hinkemann Tollera, czerewna płachta na nazistów w latach Republiki Weimarskiej, został zdjęty z repertuaru Schlosstheater w Celle na interwencję neofaszystowskiej NPD i pod presją finansową ze strony CDU.

Demokracja nie umie się bronić

Skuteczne, choć dyskretne naciski administracyjne bądź finansowe są mechanizmem prymitywnym i nie ma się co szerzej nad nim rozwodzić. Jest jednak metoda bardziej oryginalna, dająca się zastosować jedynie tam, gdzie nie ma cenzury: „spontaniczny” protest opinii społecznej. Spontaniczny w cudzysłowie, ponieważ w dziejach wypadkach na dziesięć są to starannie zaplanowane i zorganizowane akcje polityczne. Tak bywało już w czasach Rewolucji Francuskiej, gdy zamieszki i niepokoje na widowiskach teatrów należały do codziennego repertuaru. W podobnej skali powtórzyło się to w Republice Weimarskiej, po zniesieniu w Niemczech cenzury w 1918 roku. Jeśli gwizdy, krzyki, hałasy i akty wandalizmu nie były w stanie przestraszyć kierownictwa teatru tak, aby samo wycofało sztukę z afisza, mogła to uczynić policja celem ochrony porządku publicznego. Doświadczenie uczy, że gdy teatr broni ideałów postępu i wolności, policja z reguły opowiada się przeciw teatrowi, po stronie prawicy. Co więcej — jeśli sprawa trafia na wokandy sądową, sąd również, w imię prawa jednostki do obrony jej „dóbr osobistych”, do których mogą także należeć wartości duchowe jak honor i patriotyzm, rozgrywa manifestantów. Nie stara się dochodzić, czy manifestacja była w istocie spontaniczna i jakiej było jej tło polityczne. Tak oto wzniosłe hasła demokracji służą jej przeciwnikom. Stara to prawda, że demokracja nie potrafi bronić swych zdobyczy.

Z dnia na dzień, z roku na rok

Jan Prokop

ZNAMY KILKA WARIANTÓW KAPITALISTYCZNEJ GOSPODARKI WOLNORYNKOWEJ. A więc przedsiębiorczy, „założycielski” i twórczy kapitalizm amerykańskich pionierów wywodzący się z purytańskiej etyki pracy, gdy wytwarzanie dóbr jest nakazem moralnym, następnie kapitalizm wilczodrapieźny, „poza dobrem i złem” odwołujący się do darwinowskiego prawa walki o byt, w której słabszy pada ofiarą silniejszego, wreszcie kapitalizm konsumpcyjny, nastawiony w swoich horyzontach etycznych nie tyle na wytwarzanie, ile na spożywanie owoców już wyprodukowanych. Ten trzeci wariant wysuwa się na pierwsze miejsce w oczach przeciętnego mieszkańca „szczęśliwej Europy”. W przeciwieństwie do swoich kalwińskich czy purytańskich dziadów rzadko ożywia go poczucie religijnej misji do spełnienia („czyńcie sobie ziemie poddań”), motorem jego działań jest zazwyczaj prosta chęć jak najobfitszej konsumpcji — mieć zamiast być. Ale ideologia konsumpcyjna to tylko marchewka, za nią świszcze bat bezrobocia i nędzy. Konieczność ciężkiej pracy ustaje, natomiast znika nadrzędna, ponadegoistyczna motywacja ludzkich wysiłków. Mało kto dzisiaj zachęca do przedsiębiorczości ze względu na jakąkolwiek misję „transcendentną”, choć jeszcze dla naszych pozytywistów handel perkalicami wpisywał się w zakres podstawowych obowiązków walki o Sprawę Polską. Otóż rozdział między tym co robimy i tym, do czego zmierzamy, wydaje się w naszej epoce dość zastanawiający. Musimy bowiem wytwarzać najrozmaitsze dobra, podczas gdy serce wkładamy w co innego, nie w produkcję, ale w — by się posłużyć staroświeckim terminem — używanie świata. Nie w jego podbój, przekształcenie, rozszerzenie, ale właśnie w utopię swojego rodzaju *dolce far niente*. Jest to jak gdyby siostrzana utopia utopii

lewicowej. bliźniaczo podobna do wizji świata w pełni szczęśliwego, wyrastającego na gruzach obalonego systemu społecznej niesprawiedliwości. Jedni bowiem powiadają: zniszczysz zły ustrój wyrosły z chęci zysku zbudujemy zgodnie z zasadami rozumu wspaniałą wieżę Babel, drudzy zaś oświadczają: oto dzięki nowoczesnej technologii pokonałmy już naturę, to źródło nieszczęść (chorób, śmierci) i wchodzimy w krainę urzeczywistnionej obietnicy, nasze marzenia wypełniają się, możemy posiadać wszystko czego zapagniemy. Dla pierwszych drogą do immanentnych Niebiosów jest Rewolucja, dla drugich Postęp Techniczny.

COŻ JEDNAK CZYNIC, JEŚLI NIE DAJEMY WIARY ANI UTOPII REWOLUCJI, ANI UTOPII TECHNOLOGII? Jeśli uznajemy, że tkwimy w niedoskonałym społeczeństwie, bez ratunku i bez odwołania niedoskonałym? Gdyż taka — upadła i niedoskonała — jest nasza ludzka natura? Zawsze od nowa wytwarzająca zło, choćby z nudów, jak przestrzegali Dostojewski. Cóż ma czynić pisarz, skoro odbierzemy mu świętą wiarę w śpiewające jutro ludzkości, którego oto jest zwiastunem? Dawne epoki proponowały mu rolę pochlebcy albo blazna na dworze możnych, czasem rolę opowiadacza nie tylko bohaterów, ale i sowizdrzańskich forteli dla gawiedzi, czasem wreszcie funkcję zrędy gromadzącego liczne dowody głupoty i występności rodzaju ludzkiego... Czyżby tylko te mało atrakcyjne funkcje były do objęcia? Zapewne można ubiegać się jeszcze o laury buntownika, szydery i „prowokatora” demaskującego i druzgocącego ustalone wielkości i wartości. Ukazującego nicosć ukrytą pod blizną pozorów. Ta zabawa nęci młodych ikonoklastów domalowują-

cych wasy Monie Lizie. Czy nie przypominają gromady szympanów po wyjściu personelu wpuszczonych do supermarketu? Destrukcyjna twórczość czy twórcza destrukcja (dekonstrukcja) prowadzi do zaskakujących — literalnie — happeningów. Rano pojawiają się sprzątaczkę z kublami wody i umyjają podłogę po artystach?

POKOLENIE POROMANTYCZNE, OBRAZONE NA ZWYCIĘSKĄ KLASĘ MIESZCZAŃSKĄ, niechętnie rozwojowi nowych form społeczeństwa, form opartych na liberalnej wizji samodzielnie przebijającego się przez „dżunglę życia” indywidualizm, wybiera albo rewolucyjną utopię i etos lewicy („burzymy stary świat, budujemy świetlaną przyszłość!”) albo wycofuje się w „religię sztuki”. Dla wielu rówieśników Flauberta i Baudelaire’a wydaje się oczywiste, że skoro upadły dotąd wyznawane wiary, skoro nie dajemy posłuchu rewolucyjnym wołaniom, „edyndą rzeczą wartą kultu jest religia sztuki. Sztuka dla sztuki tym samym wyrasta na alternatywę „etosu rewolucyjnego”. Stanowi poniekąd namiastkę „pustej” dla wielu transcendencji. Pozwala twórcom odnaleźć się w chaosie proponując jakiś ład i porządek, choć jest to de facto porządek zastępczy, namiastka, „opium dla elit”, wbrew deklamacjom o wiecznotrwałości. pozorne, chwilowe odurzenie. Dylemat — etos lewicy albo „religia sztuki” (choć ta „religia” nie musi wyglądać à la Oskar Wilde, może być po prostu „prowokacją”, kultem aktywności „niepraktycznej” aktywności *sui generis*) — otóż ten dylemat wydaje się dzisiaj po doświadczeniach totalitarnych obozów śmierci jakoś śmieszny. Na polskim gruncie przybierał on zresztą swoistą postać — napięcia między „obywatelskim” powołaniem pisarza i jego „niezależnością”. Nabokov pisząc o doświadczeniach niepokojach Rosjan trafnie to kiedyś określił jako szamotanie się między służbą ziemi reżimowymi, wzywaniem do jego obalenia oraz budzącą w pisarzu wyrzuty sumienia „własną drogą” czyli niezangażowaniem po jednej ani po drugiej stronie. Czy sensowne jest więc oczekiwać od twórcy wierności jakiejś „transcendencji”, oczekiwać swoistej nlepokory wobec wszelkiego rodzaju skamielin i skostniałości nawet szanowanych i ślepo wielbionych, niepokory w imię „przekraczania granic na-

szego świata” i jaka odległość od transcendowania tego co jest do transgresji czyli łamania „Boskiego Prawa”? Jeśli twórca jest istotnie z rodu bogoiskateli — zwykle ponoszących, po ludzku biorąc — kleske w swoich wspinaczkach, podczas gdy jego kości na skalistych zboczach bieleją jako ostrzeżenie i razem wezwanie?

A Z DRUGIEJ STRONY CZY LUDZKI ŚWIAT MOŻE UTRZYMAĆ SIĘ, GDY OBALIMY TABU I SACRUM? Nie miej Bogów cudzych przede Mną, nie zabijaj? Czy twórczość utożsamiać trzeba z poszukiwaniem transcendencji czy odwrotnie z transgresją „Prawa Bożego”, z naruszeniem *sacrum*, z wtedy stała się ona czynnością szatańską? Zrodzona z „ducha przeczenia”? A nie z ducha poszukiwania, z ducha Argonautów? Uświadomiony antyteizm, nihilizm jako impuls twórczy? Lautréamont? Rimbaud i podróż do kresu nocy? „Poeta staje się widzącym dzięki długotrwałemu, wyrozumowanemu rozregulowaniu wszystkich zmysłów. Wszelkich form miłości, cierpienia, szaleństwa; szuka sam, wyczerpuje w sobie wszelkie trucizny zachowując tylko ich kwintesencję. Niewyrażalna tortura, podczas której potrzebna mu jest cała wiara, cała nadludzka siła, gdy staje się najczęściej chorym, największym zbrodniarzem, najgłębiej przeklętym — i najpuźszym Wiedzącym! — Albowiem dociera do nieznanego! Gdyż pielegnował swoją duszę już i tak bogatą bardziej niż ktokolwiek! Dociera do nieznanego, i gdy straciwszy głowę utraciłby również zdolność rozumienia swoich wrażeń, wtedy je dostrzega! Niech w tym skoku pięknie i zdecydnie od rzeczy niestuchanych i nienaznaczonych: przyjda imni okropni pracownicy, zaczną od horyzontu, gdzie upadł tamten”

Czy jest to łamanie wszelkich barier aż do dna, dokopywanie się do ostateczności, powiedziałby ktoś, piekielnej? Transgresja *par excellence*. Owo twarzą w twarz z Ciemnością objawiająca się czy raczej rozpoznawana jako *ultima ratio regum*? A więc nihilistyczny gest samozniszczenia?



„DEKADA LITERACKA” przyjmuje ogłoszenia i reklamy związane z kulturą. Oferty prosimy składać pod adresem podanym w stopce „Gazety Krakowskiej” z dopiskiem na kopercie „Dekada Literacka”.

Kolejny numer „Nowych Książek” DRAWICZ I INNI

Dzieła do niedawna znajdujące się na indeksie w ZSRR lub pióra tamtejszych dysydentów, a także poświęcone im prace polskich pisarzy, wyznaczają główny nurt tematyczny pierwszego tegorocznego numeru „Nowych Książek”.

W rozmowie zatytułowanej „Przeskoczyć komunizm” Andrzej Drawicz charakteryzuje swój „Pocałunek na mrozie”: „Cała ta książeczka, „Pocałunek na mrozie” pokazuje, że inteligencja rosyjska, i nie tylko rosyjska, bo również działająca w innych republikach, chociaż okrutnie przetrzebiona — przetrwała, była tym elementem, którego na szczęście nie udało się zniszczyć władzy radzieckiej”. Uzupełnieniem wywiadu jest recenzja omawianej książki oraz napisanej również przez A. Drawicza pracy o Michale Bułhakowie pt. „Mistrz i diabeł”. Na łamach „Nowych Książek” można znaleźć także refleksje na temat polskich wydań „Archipelagu Gułag” Aleksandra Solżenicyna, wspomnień Władimira Bukowskiego pt. „I powraca wiatr...”, „Doktora Żiwago” Borysa Pasternaka, „Nocowała ongi chmurka złota” Anatolija Pristawkina.

O swej przygotowywanej książce na temat ZSRR Ryszard Kapuściński mówi: „Zawsze interesowałem się sytuacją, gdy wyraźnie mamy do czynienia ze schyłkiem jakiegoś reżimu, sytuacją jego końca. Poświęciłem rok, z krótkimi przerwami, na podróżowanie — była to właściwie jedna wielka podróż, jedna z największych i najtrudniejszych w moim życiu reporterskim”.

W kręgu tematyki rosyjskiej pozostają ponadto recenzje i szkice na temat książek dotyczących stosunków łączących Polskę ze wschodnim sąsiadem, wydarzeń z najnowszej historii ZSRR.

Nowe władze Polskiego Pen — Clubu

Dnia 23 stycznia 1991 roku odbyło się w Warszawie Ogólne Zebranie Wyborcze Polskiego Pen-Clubu.

Prezesem wybrany został Artur Międzyrzeczek.

Nowy Zarząd ukonstytuował się następująco:
Wiceprezisi: Jacek Bocheński i Anna Trzeciakowska

Sekretarz: Alina Kowalczykowska

Skarbnik: Bolesław Fac

Członkowie Zarządu: Marian Brandys, Andrzej Braun, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Ryszard Kapuściński, Urszula Koziol, Erwin Kruk, Zygmunt Kubiak, Egon Naganowski, Jan Józef Szczepański, Andrzej Szczypiorski, Jerzy Turowicz, Wiktor Woroszyński

Komisja Rewizyjna: Jarosław Abramow, Irena Jurgielewiczowa, Irena Lewandowska, Janusz Ordrowąż-Pieniążek (przewodniczący), Andrzej Oseka

Ustępującemu prezesowi, Juliuszowi Żuławskiemu, nadano godność prezesa honorowego.

Pojedyncze egzemplarze „DEKADY LITERACKIEJ” są do nabycia w Krakowie w księgarni „Orlando” przy pl. Wszystkich Świętych 7 i w kawiarni Stowarzyszenia Pisarzy Polskich przy ul. Kanoniczej 7.

„LEKCJA POEZJI”

Stanisław Słabro

Kiedyś trudziłem się nad ozogacaniem mojego świata, dziś trudzę się nad jego redukcją. Sprowadzaniem go do niezbywalnych elementów, chleb, torba podróżna, obraz rodziny przy stole uniesiony w oczach, jakaś książka, kilka prostych przedmiotów koniecznych w podróży ku sobie, wspomnienie z dzieciństwa, obrazy zabrane ze sobą, wyplukane przez strumień czasu; to jedyny ekwipunek, który ze sobą zabieram — to fragment prozy poetyckiej Krzysztofa Karaska z jego najnowszego tomu pod tytułem „LEKCJA BIOLOGII I INNE WIERSZE”, nagrodzonego przez „LITERATURĘ” w 1991 roku.

Umieszczenie tego tekstu na końcu książki, jak i sam tytuł — „Redukcja”, są równie symboliczne dla całej drogi warszawskiego pisarza. Krzysztof Karaska, jeden z najwybitniejszych poetów Nowej Fali, bo trudno przecieć zawęzić to zjawisko do dwóch nazwisk: Stanisława Barańczaka i Adama Zagajewskiego, jest autorem takich tomów poezji jak: „Godzina jastrzębi” (1970), „Szczelina” (1971), „Drozd i inne wiersze” (1972), „Prywatna historia ludzkości” (1978). W roku 1986 pod tym samym tytułem ukazał się wybór wierszy poety oraz nakładem warszawskiego „Czytelnika” wybór esejów pt.: „Poezja i jej sobowót”.

„Lekcja biologii” stanowi kontynuację charakterystycznej dla Nowej Fali poetyckiej problematyki, jak również poetyki, będącej znakiem wy-

woławczym dla tej pokoleniowej formacji. Podobnie jak w poprzednich tomikach, wprowadza Karaska do „Lekcji biologii” szereg znaczących pod tym względem tematów i poetyckich wątków. Tak samo jak w lirycy Kornhausera i Barańczaka, bardzo ważny będzie tu problem filozofii i nośności poetyckiego języka. Żywiące przez twórcę poczucie relatywizmu idiomu poetyckiego i to nie tylko jako specyficznego przekazu emocjonalnych i intelektualnych treści. W ramach owego zredukowanego do najprostszycznaczeń języka rozegra się także dramat odbiorcy porażonego przez zbyt wielką ilość miejsc pozostawionych przez twórcę do znaczeniowego zrekonstruowania:

Wypluwasz nam z ust, kotwico
kolczasta, rozdwójona
obracająca każdą prawdę
w swoje przeciwieństwo

napisze poeta w wierszu „Język” dedykowanym Karłowi Dedeciusowi. Jeszcze dobitniej myśl ta wyrażona zostanie w wierszu bez tytułu:

Poeta też człowiek
chce mówić jak inni
Ale zanim coś powie
połyka język
język rośnie mu w ustach
przeszkadza w oddychaniu,
dusi

Poeta dławi się własnym
językiem.

Nowofalowy imperatyw nieufności wobec języka, wyrażony kiedyś przez Juliana Kornhausera w klasycznej już

dzisiaj frazie: „Daliśmy się złapać na język, którego nie było” pojawił się w tomie Karaska w postaci przeświadczenia, mocno zabarwionego ironią, o kruchości i przemijalności nie tylko poetyckiego idiomu, ale i całej tradycji, którą ten język pragnie wyrazić: „język rośnie mi w ustach (...) walcząc / z ciemnością, która / wlewa się przez otwarte okno pokoju / zalewając nas skorupą / białoczerwonego / asfaltu”.

Ta fenomenologiczna prawie redukcja od estetyki przez etykę do swoiście pojętego sacrum obejmuje w „Lekcji biologii” nie tylko sferę poetyckiego języka. W sposób charakterystyczny dla nowofalowej poetyki splata się tu ze sobą w nierozdzielny, gordyjski węzeł pokoleniowego przeżycia prywatny mit ze sferą historii i tradycji, z wyrażnie zasygnalizowanymi odwołaniami do romantycznej spuścizny (np. „Ballada o Lordzie Byronie”). Ale także i to kulturowe uniwersum podlega redukcji i jest sprowadzane przez bohatera lirycznego i przede wszystkim przez samego autora, do znaczeń najprostszycznaczeń:

Gdzie jest Tomek, Gdzie
Helmut, Gdzie Irek,
Gdzie Jurek? (...)
Książki są przecież jednak
nie cmentarze
Głos się wytania gdzieś ze
szczelin nocy
I krzyczy: żyję jeszcze
Tylko ja go słyszę

Charakterystyczny dla pokolenia autora „Lekcji biologii” dystans wobec historii, próba bardziej uniwersalnego spojrzenia na dzieje jednostki, zaowocowała w tym tomie wierszami, które można interpretować w kategoriach patriotycznego trenu (np. „Warszawianka”, „Erynie”, „Tren”), a z drugiej strony tekstami,

w których i generacyjność, i rodzaj specyficznej dla polskiej tradycji historiozofii zostały dokładnie zakwestionowane. Tak dzieje się na przykład w przejmującej poetyckiej prozie z 1981 roku, która na tle wielu wówczas powstających nieudolnych kopii tyrtelskiego wzoru, konsekwentnie kwestionowała jeden z najważniejszych, najbardziej zsakralizowanych archetypów naszej kultury:

„Ojczyzna jest skórą rozjechanego psa, o którą walczą wygłodzone wilki, czasem jest mapą. Ujrzeć wówczas możesz, jak przez rozwijający się pod chłostą języka rulon przebiega konwulsyjne drżenie. To płonie powietrze wydzielające mdły zapach gnijącego ludzkiego mięsa.

Starczy śniegu ziemi, aby ukryć ścierwo rozjechanego psa”.

„Lekcja biologii” Krzysztofa Karaska, podobnie jak było to w przypadku „Prywatnej historii ludzkości”, jest lekcją poezji poszukującej dystansu do rzeczywistości i do historii. Nie sposób natomiast, ze względu na brak miejsca, omówić tu wszystkich zalet tego tomu bardzo dobrych wierszy. A więc przede wszystkim wyrafinowanego języka, dążącego do odkrywania filozoficznych, uniwersalnych sensów duchowego doświadczenia lirycznego bohatera. Jest to poezja wielkiego wewnętrznego wyciszenia i uspokojenia, będących owocem wcześniejszych, intensywnych peregrinacji w żywiole języka, rzeczywistości i historycznych mitów. Było stąd kilka dyskretnych nawiązań do Mickiewicza. Ale z drugiej strony pojawiają się w tym tomie również egzystencjalne lęki, którym wydaje się patronować Villoni Wojaczek. Przykładem niech będą „Skarga mężczyzny słusznego

wieku” oraz „Poezja i jej sobowót” z charakterystycznym zakończeniem: „Ani miłość / ani śmierć. / Ani proza / ani wiersz”. Widoczne są też wątki bardziej osobiste jak chociażby ten zawarty w „Modlitwie za moją córkę”.

Bohater liryczny tych wierszy autora urodzonego w 1937 roku zdaje sobie bowiem już sprawę z faktem, że sztuka, podobnie jak i życie, jest Wielką Redukcją wielu splecionych sensów i zawężonych ścieżek, do kilku najprostszycznaczeń. Do owych ostatnich, kilku najczystszych taktów, na które każdy artysta pracuje przez całe życie. Ale też i sztuka będąca sama w sobie tą redukcją i rezygnacją z jakże ludzkich snów o potęgę jest też największym bogactwem i jedyną szansą nieśmiertelności człowieka pochłanianego przez historię i zbiorowe mity. W wierszach Krzysztofa Karaska zawartych w „Lekcji biologii” nie ma tak modnych obecnie „utworów religijnych”. Jest natomiast jeden tekst świadczący nader dobitnie o przyrodzonej człowiekowi tęsknocie za nieśmiertelnością:

Któryś jest światłem Poscała
i ciemnością Blake’a
spraw
bym z twojej obecności,
lub nieobecności, z twojej
nieskończoności wyprowadził
się, która pozwoli mi napiąć
ciągnię łuku
ciała i wypuścić strzałę
języka naprzeciw słońcu i
gwiazdom twojego
nieba
naprzeciw twojej i mojej
samotności.
(„Modlitwa na Wielki Piątek
roku 1987”)

KRZYSZTOF KARASEK:
„Lekcja biologii i inne wiersze”, PIW, Warszawa 1990.

„Słowami Utraty witam cię, miasteczko...”

Krzysztof Lisowski

W inwokacja z pięknego wiersza Leszka Aleksandra Moczulskiego, poświęconego rodzinnym Suwałkom, autora tomu „Oddech”, mogłaby służyć za motto książki-poematu ALEKSANDRA JUREWICZA pt. „LIDA”.

Autor, należący do pokolenia debiutującego w połowie lat siedemdziesiątych, zaliczany jest przez niektórych (na pewno nie tych, którym dorobek całej generacji kojarzy się jedynie z tandemem Maj-Polkowski, czy też — Polkowski-Maj) do najciekawszych i rytmów, którzy pojawili się w dekadzie poprzedniej i swymi kolejnymi zbiorami wierszy potwierdzili jakoś talentu, odrębność wizji, doprowadzili swą dykcję do takiej fazy, iż jest łatwo rozróżnialna.

Jurewicz, reprezentant ostatniej być może większej

fali polskich repatriantów z ziem wschodnich dawniej Rzeczypospolitej, powrócił do kraju — jako pięcioletni chłopiec — w roku 1957. Czytając jego wcześniejsze wiersze z tomów „Sen, który na pewno nie był miłością” (1974) czy „Nie strzelajcie do Beattlesów” (1983) trudno byłoby przypuścić, iż gdański poeta i prozaik zmierzy się kiedyś z tematem coraz częściej obecnym w naszej literaturze ostatnich lat (czy to przez pojawienie się na oficjalnym rynku książek Miłosa, czy choćby poprzez całą prawie twórczość Konwickiego).

„Lida” jest próbą zmierzenia się z „problemem osobistym”, ale i umiejscowiona być może w grupie utworów, których autorzy biograficznej opowieści nadają wymiar ogólniejszy, niekiedy mitologizują przeszłość, pytają o świat,

wartości przenoszone w pamięci, utrwalone w ocalałej wyobraźni, głosach umarłych, pamiątkach i listach, pochodzących z utraconych „małych ojczyzn”.

Jurewicz pomyślał swój realizował przez lat kilka — najpierw powstał trzydziściowy poemacik „Lida”, który krakowianie mogli usłyszeć, recytowany przez autora, na jednym z wieczorów mówionego „Nagłosu”, potem zapewne powstał inny dłuższy tekst poetycki — „Kronika Lidzka, 1986”, reakcja poety na krótkotrwały, „turystyczny” powrót w rodzinne strony, do domu urodzenia, do krewnych, którzy zdecydowali zostać na ziemi przodków. Między te dwa poematy autor wpisał na końcu trzy rozdziały prozą — drobiazgową analizę tamtych, istniejących w pamięci dziecka, ostatnich

godzin przed odjazdem na zachód, pierwsze wrażenia z pobytu w Polsce (ksenofobiczne zachowania „prawdziwych” Polaków w stosunku do małego przybysza zza pobliskiej granicy), wreszcie — zapis wzruszeń i obserwacji dorosłego już bohatera tej opowieści, który — na chwilę — wraca w rodzinne strony, aby skonfrontować mgliste doznania z przeszłości z rzeczywistością białoruskiego miasteczka w obwodzie grodzieńskim z lat osiemdziesiątych. Tok opowieści dodatkowo inkrustowany jest cytacjami z oryginalnych listów babci autora, listów pisanych swoiście urokliwą mieszaniną języka dawnych modlitewników, staropolszczyzny i białoruskiego.

Realizacja tego zamysłu udała się Jurewiczowi znakomicie. Nie jest to bowiem wykorzystanie jedynie elementów

własnej biografii. Autor, sytuując akcję w kilku planach czasowych, odbudowuje ten „możliwy” świat, sugerując nie wprost swoje inspiracje, a także sposoby, jakimi na wyobraźnię indywidualną działa literatura i zbiorowa pamięć. Niewątpliwie poecie patronuje tu Miłosz ze swą prekursorską w tym gatunku „Laudą”, ale też Jurewicz stroni od łatwych wzruszeń i kombatanckich analiz losu polskiego. Pochyla się nad każdym szczegółem, pracowicie i z pokorą broni siebie, swych najbliższych i nas przed zagrożeniami niepamięci. Ale w tej obronie Jurewicz stałe po stronie realizmu, nie złudzeń, dlatego pewnie „Kronikę Lidzką” wieńcza wiersy:

„(...) Znowu odrywasz
bandaż z tej rany, sen się
nie goi,
ból się nie spełnia”.

ALEKSANDER JUREWICZ:
„Lida”, Zakłady Wydawnicze
„Versus”, Białystok 1990 r.

Czytając Platona

Iwona Misiak

Ukazało się tłumaczenie „Kratylosa”. W dialogu tym Sokrates, Hermogenes i Kratylos zastanawiają się nad odpowiednimi nazwaniami dla rzeczy, pochodzeniem słów oraz strukturą języka. „Nie wiem, jak wygląda

prawda o nazwach”, mówi Sokrates, „ale gotowy jestem tego dociekać z wami”. Słowa nie są okruciami mowy bogów ani arbitralnym wyborem człowieka — filozof zbliża przeciwne sądy. Wniosek do jakich dochodzi, nie są

dla nas zaskoczeniem, a długie wywody etymologiczne budzą uśmiech. Starsi o kilkanaście wieków, rozważamy Jacobsona i Łotmana patrząc na osie kombinacji, wyboru, zasypujemy dychotomię treści i formy, myślimy o dekonstrukcjonizmach i innych -izmach. Ale większym pożytkiem będzie, jeśli przeniesiemy się do początków rozważań, cofniemy się wiele wieków, w odległe czasy przed Chrystusem.

Czy świat rzeczy dąkuje nam słowa? Czy sami dokonujemy wyboru, nazywając? Język jest swobodą? Przymusem?

Dialogi są żywe, otwarte, bo nie dążą za wszelką cenę

do systematyzacji. Od teorii ważniejsze są: rozmowa i szukanie. Czytając Platona nie tracę poczucia rzeczywistości.

Grecki filozof daje wykład oraz opis uczęszczania umysłu w rozstrzygnięciu problemu śmierci, miłości, przyjaźni, relacji słowa — rzeczy. Piszę o roztopnym zrównoważeniu, decyzji wyboru życia; podkreśla — odrzuć rozkosz, oddaj się w służbę Muzom. Poznanie jest nieustannym procesem, nieustępliwą próbą dociekania sensu. „Wmyślenie się” to cel dialogów. Myślenie nie przynosi gotowych formuł ani sądów. Ono nie ma końca, Platon myśli ze słuchaczami. Jesteśmy świadkami ży-

wających pomysłów, błysków, wniosków. Gubimy się w dygresjach, ale odnajdujemy drogę. Sokratesa nie przeraża błądzenie.

Hanna Arendt w sposób metaforyczny określa „myślenie”. Otóż, patrzyłoby nam na to pozwala, światła nie widzimy, ale bez jasności nie zauważalibyśmy przedmiotu. Możemy myśleć o różnych rzeczach, bo jesteśmy w przestrzeni jakiegogoś światła.

Platon „Kratylos”, przełożyła Zofia Brzostowska. Współredakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1990, s. 136.

KGB — ukryta ręka (XII)

John Barron

Prezentujemy naszym Czytelnikom przedostatni odcinek głosnej, na Zachodzie książki J. Barrona o działalności KGB. Całość, która ukaże się w Wydawnictwie Literackim, tłumaczyli Barbara Sławomirska i Andrzej Nowak.

Zlikwidowawszy swoje interesy w Dżakarcie, Barnett, wraz z żoną i synkiem, przeniósł się w kwietniu do stanu Maryland i podjął próbę powrotu do pracy w wywiadzie amerykańskim. Rozmawiał z wieloma ludźmi, łącznie z Richardem D. Andersonem ze Stałej Komisji ds. Wywiadu przy Izbie Reprezentantów. Instytucja ta, pełniąc funkcje nadzoru, z konieczności wie bardzo wiele o licznych tajemnicach wagi państwowej, a prawo wymaga, by była również powiadamiana o wszelkich tajnych akcjach podejmowanych przez CIA. Znajdując tam zatrudnienie, zdolny agent KGB mógłby działać bardzo dużo.

Wersja, jaką przedstawił, sprawiła, iż wszyscy jego rozmówcy byli przekonani o jego wysokich kwalifikacjach. Twierdził, że z chwilą porzucenia pracy w CIA stał się człowiekiem niezależnym finansowo, toteż prawa pensji nie gra roli. Ważna by jedynie okazała, by móc wykorzystać swe doświadczenia w służbie dla kraju.

Jeśli wziąć pod uwagę jego legendę i talenty, było rzeczą aż dziwną, że nie mógł znaleźć zatrudnienia aż do stycznia 1979 roku, kiedy to CIA przyjęła go jako pracownika kontraktowego, by uczył wyjeżdżających za granicę agentów, jak należy się zachowywać podczas przesłuchania. Jego podwładni z najwyższą uwagą słuchali słów weterana, który z reguły kończył swój wykład radą: „A jeśli już wszystko zawiedzie, wtedy wyznajcie wszystko”.

Zgodnie z planem, Barnett komunikował się z Popowem za pośrednictwem budki telefonicznej, a od czasu do czasu udawał się do Dżakarty na konferencje z przedstawicielami KGB, którzy wciąż naklaniali go, aby uzyskać etat stałego oficera CIA. Zwa-

żywszy poprzedni dłuższy pobyt w Indonezji, podróże te nikogo nie dziwiły.

Kiedy Barnett przybył do strzeżonego budynku CIA w dniu 18 marca 1980 roku, nie zastał tam żadnego ze swych uczniów. Natomiast czekało już na niego dwóch agentów FBI. — Chęlibyśmy omówić z panem kwestię pańskich związków z KGB — oznajmił jeden z nich. Ledwie tylko zaczęli mówić o Popowie, Barnett zdał sobie sprawę, że wszystko przepadło. I w ciągu następnych dni wyjawiał wszystko.

Skazując Barnetta na osiemnaście lat więzienia, sędzia wziął pod uwagę jego współpracę przy zeznaniach, jak również i fakt, iż w momencie, gdy skończył się jego wyrok, przekroczył już wiek sześćdziesięciu pięciu lat. Natomiast Departament Sprawiedliwości zezwolił mu na tydzień pobytu na wolności, by — nim już na dobre wejdzie w mury więzienia — mógł pozalać wszelkie sprawy rodzinne i osobiste.

W wyniku procesu podniosły się głosy krytykujące CIA, że była tak ograniczona i niekompetentna, iż zatrudniła agenta KGB jako wykładowcę dla swoich przyszłych agentów. W końcu głos zabrał jeden z senatorów, członek Senackiego Komitetu ds. Wywiadu. Wyjawiał on, że FBI wiedziało o Barnecie, gdyż to właśnie ono wykryło jego kontakty z KGB.

Gdyby działalność Barnetta nie została tak wcześnie wykryta, KGB miałyby teraz w amerykańskim wywiadzie swego agenta-zawodowca.

Podczas gdy Linia KR usiłuje infiltrować wywiad amerykański a Linia X obmyśla kradzieże technologii, pracownicy Linii PR z Rezydencji w Waszyngtonie i Nowym Jorku wykonują Akcje Bezpośrednie, uciekając się do

tych samych podstępów, jakich tak skutecznie używał w Tokio Lewczenko. Tak samo jak Lewczenko, sugerują kongresmenom, pracownikom administracji państwowej i dziennikarzom, że mają bezpośredni dostęp do Kremla. Dają do zrozumienia, że wszystko, co dany Amerykanin powie, zostanie rozważone przez najwyższych przywódców radzieckich, a wszystko, co mówi dany oficer KGB, odzwierciedla prywatne opinie przywódców radzieckich.

Oficer KGB, Siergiej Czetwierikow, który na początku lat osiemdziesiątych zapraszał wybitniejsze osobistości życia amerykańskiego do najlepszych waszyngtońskich restauracji, twierdził, że jest „kanałem bezpośrednim” pomiędzy Kongresem Stanów Zjednoczonych a Biurem Politycznym, Towarzystwami, o nienagannych manierach, Czetwierikow chciał dzięki tej pozycji wpłynąć na nastroje Kongresu w związku z rozmowami o ograniczeniu zbrojeń. Rozповідаł „w zaufaniu”, jakie warunki byłyby do przyjęcia dla Kremla, a jakie nie. Zapewniał również gorąco Amerykanów, że osobiście przekazuje ich poglądy przywódcom radzieckim, gdy następnym razem pojedzie na urlop do Moskwy.

Jedną z najbardziej ogranych też radzieckiej dezinformacji, którą oficerowie KGB rozpowszechniają ustnie w Stanach, brzmi następująco: Przywódcy radzieccy podzieleni są na dwie frakcje — „jastrzębi” i „gołębi”. Aby ułatwić tym umiarkowanym zdobycie przewagi, Stany Zjednoczone winny iść na ustępstwa, które umożliwią dowiedzenie prawdy, że polityka „umiarkowana” jest linią najlepszą. W przeciwnym bowiem razie przewagę zdobędą rzeźnicy „twardego kursu” i odprężenie znajdzie się w zagrożeniu. Pomimo wojowniczości swoich słów i czynów, Breżniew miał być w skrytości ducha „umiarkowanym”, tak samo jak Andropow „kryptoliberal”.

Oficerowie z Rezydencji w Waszyngtonie krążą po korytarzach Kongresu i salach przesłuchań oraz regularnie uczestniczą w posiedzeniach komitetów mających znaczenie wywiadowcze. Jeżeli tylko przedstawiciele FBI zeznają na którymś z przesłuchań otwartych, z pewnością na sali jest ktoś z KGB. Składający w dniu 4 lutego 1982 roku zeznania przed Podkomisją Senacką dyrektor FBI William H. Webster oświadczył, że rano przysłuchiwał się przebiegowi tego posiedzenia pracownik ambasady radzieckiej.

Choć Rezydencja w Waszyngtonie jest niezwykle aktywna, obecność ONZ umożliwia KGB utrzymywanie jeszcze większej i ważniejszej bazy w Nowym Jorku. W styczniu 1983 roku w Sekretariacie ONZ było zatrudnionych około 330 Rosjan; przebywało

tam nadto 310 członków radzieckiej delegacji dyplomatycznej przy ONZ, a oprócz tego jeszcze wielu Sowietów podających się w Nowym Jorku za handlowców.

W przybliżeniu trzydziści do czterdziestu procent tego personelu stanowią oficerowie KGB lub GRU. Dodatkowo przebywają tam jeszcze setki obywateli państw Europy Wschodniej, a także Kubańscy zatrudniani przez ONZ w Nowym Jorku lub akredytowani przy niej jako dyplomaci.

Oficerowie KGB zatrudnieni przez ONZ cieszą się w Stanach niezwykłą swobodą działania. Jeśli dyplomaci radzieccy nie mogą podróżować dalej niż w promieniu dwudziestu pięciu mil od Nowego Jorku bez pozwolenia władz, pracownicy ONZ podróżują po całym kraju bez żadnych ograniczeń. ONZ tak łatwo akceptuje zwolnienia chorobowe, że oficer KGB może zwolnić się z pracy dla wykonania swych zadań na tak długo, jak tylko zechce, posługując się przy tym wyłącznie świadectwem lekarza Misji Radzieckiej. Regulamin pracy ONZ jest tak swobodny, że oficerowie KGB mogą opuszczać swe miejsce zatrudnienia w ciągu dnia, by przekazywać raporty i pobierać instrukcje w Rezydencji na Wschodniej Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy. Ponieważ wielu oficerów KGB nie ma kwalifikacji do pracy w ONZ, ich nieobecność jest praktycznie bez znaczenia. Tak czy inaczej, zwierzchnicy niechętnie zwracają im uwagę, ponieważ w wypadku gdy jakiś pracownik-Rosjanin otrzyma nagane, Misja Radziecka występuje z niezwykle wojowniczym protestem. I, ku rozbawieniu Sowietów, podatnicy amerykańscy subydiują w ten sposób niemal bezpośrednio operacje nowojorskiej Rezydencji.

Stany Zjednoczone płacą jedną czwartą szacunkowego budżetu ONZ i dobrowolnie finansują wiele jej specjalnych agencji. Całość wkładu USA w roku 1981 zamykała się sumą 1 098 502 013 dolarów. (ZSRR płaci tylko 12 procent podstawowego budżetu ONZ, bardzo mało lub wcale nie przyczyniając się do dobrowolnych programów specjalnych. Często ignoruje podatki, a obecnie zalega z prawie dwustu milionami opłat.) Tak więc co najmniej jedna czwarta uposażeń szpiegów komunistycznych na liście plac ONZ pochodzi ze skarbu USA. Gwałcąc Kartę ONZ, Sowietci żądają, by obywatele ZSRR rzekli się częścią swych uposażeń na rzecz rządu. Lecz część dolarów wpłacanych na konto ONZ bez wątpienia trafia do funduszu operacyjnego Rezydencji w Nowym Jorku.

CDN.

Camera obscura

„Słowo” nr 2) wspomina, że w przedwojennym atlasie Romera imperium brytyjskie było zamalowane na kolor brązowy. Nie ma zgody! Był to kolor najwyraźniej różowy.

(hm)

Ze zdziwieniem słuchaliśmy w telewizyjnym „Kontrapunkcie” (2 stycznia) Andrzeja K. Wróblewskiego, gdy przytaczał słowa Gospodarza z „Wesela” jako wyraz opinii chłopów o inteligentach. Gospodarz to przecież nie chłop, lecz właśnie inteligent (artysta) osiadły na wsi.

(hm)

W radiu i telewizji szerzy się zwrot „póki co”, będący kalką rosyjskiego „poka czto”. Czy nie można mówić: „tymczasem”, „na razie”?

(hm)

„Słowo” (nr 4) przypisuje zdanie „Kadry decydują o wszystkim” — Zdanowowi. Oddajmy jednak, cesarzowi co cesarskie: to zdanie z przemówienia samego Stalina uroczystości promowania akademików Armii Czerwonej w r. 1925.

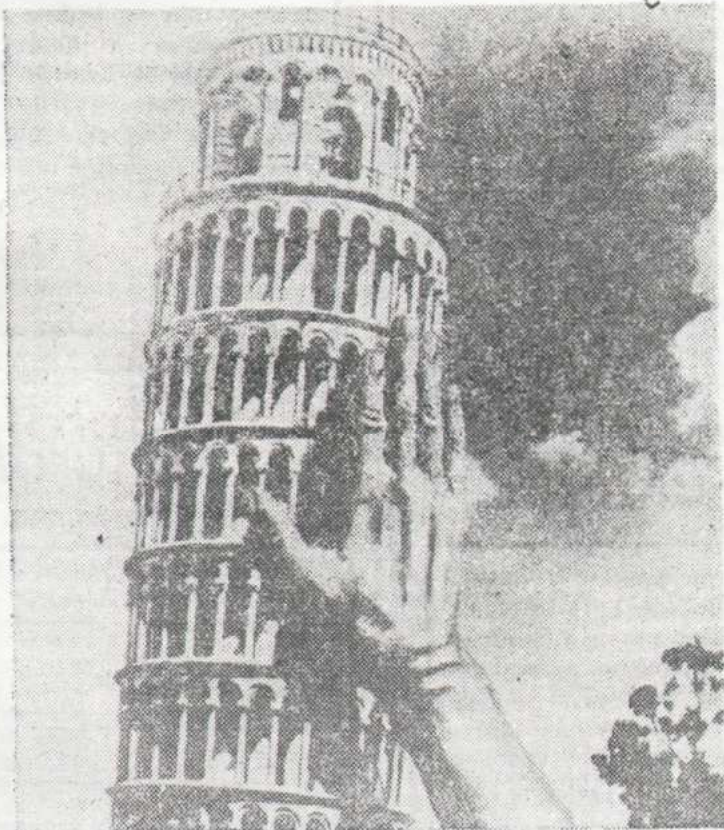
(hm)

Premier Jan Krzysztof Bielecki (w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” nr 23) poleca używanie wyrazu „mieszkalnictwo”, bo „budownictwo to był komunistyczny

ny wynalazek”. Nie sposób z tym się zgodzić. Po pierwsze termin „mieszkalnictwo” ma zakres wyraźnie węższy — oznaczać może tylko budownictwo mieszkalne. Po drugie — i ważniejsze — wyraz „budownictwo” — jak dowodzą przykłady w „Słowniku” Doroszew-

skiego — występuje m. in. u Kruszewskiego i Sienkiewicza, a więc żadnym komunistycznym wynalazkiem być nie może. Wygląda natomiast na taki wynalazek niefortunny „mieszkalnictwo”; poświadczają je dopiero cytaty z lat pięćdziesiątych.

(hm)



Rozwiązanie problemu Krzywej Wieży w Pizie

W recenzji z nowej książki Stanisława Stanucha „Modlitwa o szczęśliwą śmierć” („Polityka”) Kazimierz Koźniewski pisze, że w postaci Floryana autor zeskamotował dzieje własnego Ojca i Stryja. Zeskamotował to wprawdzie błędnie drukarski, zamiast „zeskamotował”, ale i tak nie wiadomo, co to słowo tu robi, bo „zeskamotował” znaczy przecież zrzęcznie coś ukryć, usunąć, a eufemistycznie — ukraść.

(hm)

Redaktor (prezenter?) „Pegaza” powiedział w dniu 31 I br., że komunizm się wcale jeszcze nie skończył. Ze może znów zapukać do drzwi. Najśluszniej. Czasem zdaje się, że już puka, zwłaszcza kiedy ogląda się w tunie „Pegazie” i podobnych programach tak dobrze znane z telewizora w okresie stanu wojennego twarze występujących w nim osób. Nomina sunt odiosa.

(el)

Przyzwyczajaliśmy się już do telewizyjnych popołudniowych „Wiadomości”, nadawanych o godz. 16, a tymczasem od jakiegoś czasu godzina ta jest zmieniana, to na 15.45, to na

15.55, w soboty i niedziele program ten w ogóle nie jest nadawany, a przecież programiści w TV zauważyli chyba, że coś się w świecie dzieje i widzowie teraz szczególnie pragnęliby mieć serwis częsty i o stałych godzinach.

(el)

Przyznając się do cenzurowania tekstów Sacharowa jeszcze w 1988 roku „Moskowskie Nowosti” napisały: „Gdybyśmy go słuchali, nasza droga do prawdy byłaby krótsza i łatwiejsza. Ale skracałiśmy i poprawialiśmy jego teksty, nie słuchaliśmy go lub udawaliśmy, że nie słyszemy”.

(el)

W telewizji naszej kochanej tak się kłóć, tak przepychają, tak gryzą, że nie mają czasu porządnie wymalować plansz. Ostatnio poeta Broniewski podpisany był Broiewski, a spikerka Elżbieta Poniatowska, figurowała jako Elżbiata, z Władysława zaś zrobiono Władysława itd. Przewietrzając TVP, przewietrzając też alfabet i zasady pisowni? Może to już lekka przesada?...

(ter)

Zamiast felietonu

Krzysztof Lisowski

1. „Do rzeki albo przykopy, co przez miasto łdzie i przez klasztor, ciż mieszczanie powin- ni drzewa na obłożyny z lasu miejskiego na- wiezić i na powabę do wychędożenia tej przy- kopy powinni posyłać, aż póki jej nie wychę- doża” (o młynówce w Starym Sączu).

2. toast: zdrowie wątroby!

3. Z Singera:
„Dodawać sobie ciała, to zwiększać liczbę robaćwa”.

4. Złyszczane na wczasach (II 1986):
„Nie przejmuj się ojczyzną, chodźmy na kolację!”
„Przyzwyczałam się do niego jak do sta- rego wazonu”

5. Pomysł Uli na „utwór literacki”:
o dziewczynce, która nigdy nie mogła zdążyć na pochód.

6. umarły przez aklamację

CZYSTOŚĆ ODMOWY (terminu Picassa)

8. „Jeszcze sekretów nie zna, już ma sekre- tarza”
Marian Hemar

9. „To wszystko, co nie ma imienia, nazywa się już na tyle sposobów”
J. Cortazar, „Proza z obserwatorium”

10. „Bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem, kiedy się w nas wciela”
Adam Mickiewicz

11. „Może my bawimy się w Polskę, a pod na- mi, w głąb ziemi wybudowano sto pięter Rosji”
T. Konwicki „Wschody i zachody księżycy”

12. „Bo po tem życiu taką nam dadzą ojczyznę i rodzinę, na jaką zasłużymy. Wcześniej tam robimy przyjaciół i stamtąd bierze się siła do działania tu w teraźniejszej ojczyźnie”.
A. Mickiewicz (z listu do Konstancji W., 1851)

13. „prostoserdeczny” — wyrażenie Mickiewi- cza

14. Milan Kundera, „Walc pożegnalny” — „Bóg wioził kobietom w serca nienawiść do in- nych kobiet, bo chciał, żeby ludzkość się roz- mażala”.

15. „... jemu zawsze źle z oczu patrzyło zwierzę zaświatów”
Aleksander Jensko

16. z „Kompleksu polskiego” Konwickiego:
„Pan nas wszystkich przeżyje. W przyszłym tysiącleciu trzeba będzie pana uspić za pań- stwowe pieniądze”.

17. „Polak jak widzi balkon, to chce skoczyć”.

18. „Hitler często opowiadał przyjacielom gdzie i jak chciałby zostać pochowany. Wybierał Bejrut lub Linz na miejsce swego wiecznego spoczynku”.

19. James P. O'Donnell, „Berliński bunkier”

20. „Za nim enkawudzista łdzie w sztok pijany A Bóg z Schubertem grają na dwa fortepia- ny”
J. M. Rymkiewicz, „Ulica Mandelsztama”

19. Z „Sentencji Ojców” (Talmud):
„Za dużo nie rozmawiaj z żoną, tym bar- dziej z obcą kobietą.

Mędrcey bowiem orzekli, że ten, który poświę- ca zbyt dużo czasu rozmowie z kobietą, wy- rządzi sobie krzywdę. Odrywa się od słów Tory, aby w końcu zarobić na piekło”.

„Nie sądz bliźniego, póki nie wstawisz się w jego położenie.

Nie mów: „To jest rzecz niepojęta”, albowiem w końcu wszystko będzie pojęte. Nie mów też: „Zabiorę się do nauki, gdy będę miał ku temu czas”, albowiem czas taki może wcale nie nadejść.

20. Z dzisiejszego (27. 09. 87) „Tygodnika Po- wszechnego”:
„PRON podpisał porozumienie z angolskim Narodowym Komitetem Ludowych Brygad Czujności. Porozumienie przewiduje pomoc PRON w szkoleniu kadr i wymianie doświad- czeń”.

21. Z listu Jerzego Stempowskiego do Józefa Czapskiego:
„Apostołowie mieli posiadać dar języków, ale z resztek ich pism można wnosić, że mówili mniej więcej tak jak nasi obecni emigranci”

22. „Czy podobna abyście w Częstochowie bę- dąc do Grodna nie dojechali?”
E. Orzeszkowa (z listu)

23. „Swedenborg wspomina, że miasta Gehen- ny nie posiadają w gruncie rzeczy określo- nego wyglądu, bowiem każdy widzi je »stoso- wnie do swego wzroku«. Ponieważ nikt nie mo- że stać się jednocześnie kimś innym, wrażenia bardzo trudno porównać. Czasem wszystkie budowle znikają i wtedy spostrzegamy jedynie jałową pustynię pełną kamieni albo rozległe bagna, na których hałasują żaby”.

Jan Tomkowski, „Infernus”.

24. „Nie umiem jakoś odejść od brzegu herakli- tejskiej rzeki, jestem zafascynowany, urzeczony, i nie potrafię zdobyć się na rozmyślanie samo w sobie bez słów i obrazów. Może dzie- je się tak dlatego, że jednym z naszych ludz- kich przywilejów jest nie dająca się wypie- nić wiara w inny wymiar minionego czasu, tak że cokolwiek raz minęło, zostaje przenie- sione w ten inny wymiar i trwa tam na zaw- sze”.

Czesław Miłosz, „Kroniki”

25. „Dążyli drogą daleką przez jedną dwugo- dzinę przez wtórą przez trzecią”.

„Gilgamesz” w przekł. J. Wittlina

26. „A jego milczenie przemawiało językiem, którego nie mogła zrozumieć” — Bernard Malamud, „Pomocnik”

27. Własne: rozpoczynanie pracy przed 8.00 jest równie niezdrowe jak palenie na pusty żołądek!

28. Adolf Rudnicki:
„W gruncie rzeczy wszyscy dobierają się wedle tego samego klucza, kaleka szuka ka- leki”.

„(...) to, czego nie chciał, było w nim silniej- sze od tego, czego chciał”.

29. Andrzej Zięba (felietonista):
„Szczęście Polaka to jest suma nieszczęść, których udało mu się uniknąć”

KTO CO CZYTA?

ANDRZEJ NOWAK — tłumacz i krytyk:

Codzienną porcję lektury podporządkowuję, chcąc nie chcąc, ewentualnym planom translatorskim, które z kolei uzależnione są od praw rynku i wymagań czytelnika. Stąd też potrzeba wczuwania się w zapotrzebowania „maso-

wego” odbiorcy, gdyż to wła- nie on decyduje o kasie. Nie- mniej marzy mi się, że przy- dą jeszcze czasy, w których monopol „Ambera” i innych tytanów horroru i sensacji zo- stanie w naturalny, zgodny z prawami rynku sposób przela- many, że odbiorca nasyci się wreszcie (i przesyli) nie zaw- sze po mistrzowsku ujętą gro-

zą i nie najlepszą sensacją. I że nastąpi jeszcze szansa od- krywania nie znanych oraz przypominania zapomnianych cymeliów literatury-światowej. Z myślą o tej właśnie przyszło- ści translatorskiej czytam me ulubione starowalijskie MABI- NOGION i częściowo już prze- ze mnie kiedyś tłumaczone ke- czuańskie liryki JUANA WAL- LPARRIMACHI MAYTA, po- tomka Inków i uczestnika je- dnego z ostatnich antyhiszpań- skich powstań w Andach.

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydaw- nicza „Gazeta Krakowska”. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekre- tarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Waclaw Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Ny- czek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

Wacław Kłag przedstawia:



Krzysztof Jasiński

HYDE PARK Czytelników

Dziś na naszych łamach gości pani JÓZEFA PIO- TROWSKA—STRIGL, z wierszem napisanym kilkana- ście lat temu. Zdążył go przeczytać nieżyjący już dziś Stefan Otwinowski, który przed wielu laty oceniał prozę i poezję debiutantów. O tym wierszu, jak mówi jego autorka, wydał opinię pochlebną.

Budzenie geniusza

Obraz lata przywołany wspomnieniem dalekim
jak dotyk klawiszy pulsujących życiem
spomiędzy strun wydarty zda się być człowiekiem
co szamocze się dźwiękiem i upada liściem
jak smagany szkieletami drzew czarnych i nagich.

Czy potrafię zwalając demony na pomoc
pasażem wrócić do kolebki lata
choć wiem, że wybiła akordami północ
dźwięk prawdy nieomylny co pejzażem splata
złotość w wiolinach i cierpienie w basach.

Może ocalone rebusem bialo-czarnych kości
czule, rozedrgane, pieścizotliwe ręce
zbudzą tonów milionem geniusza wieczności
co z łez i spizu nieśmiertelne wieńce
zarzucił na wystygły krajobraz jesieni.

Ekonomiści nie zasłużyli sobie jeszcze na to, aby ich słuchać z uwagą.

J. M. Keynes

Maksyma „in vino veritas” — tj., że człowiek roz- grzany winem będzie mówić prawdę — jest może argumentem za piciem, jeśli się uważa, że ludzie przeważnie są kłamcami. Ja jednak nie dotrzymy- wałbym towarzystwa facetowi, który kłamie tak długo jak jest trzeźwy i którego dopiero trzeba upić, aby wydobyć z niego słowo prawdy.

dr Johnson

Tajemnica nauczania leży w szacunku dla ucznia.

Ralph Waldo Emerson

Kultura/pieniądze

(notowania z 30 stycznia 1991)

galeria „na murach” (obok Bramy Floriańskiej)	„Kościół Mariacki” (olej)	1,2 mln
	„Święty” obraz (olej)	480 tys.
galeria Jana Fejka	grafiki J. Panka	500 tys. —3,5 mln
galeria „Inny Świat”	obraz J. Dudy-Gracza	50 mln
w niektórych księgarniach	reprodukcje obrazów	45—80 tys.
salon antyków	obraz Jerzego Koszaka (1927 r.)	22 mln